

B L U S Z C Z

Spoleczno-Literacki Ilustrowany Tygodnik Kobiety

ROK LXIII

WARSZAWA, DNIA 24 MAJA 1930 ROKU

NR. 21

TREŚĆ NUMERU. Niebezpieczny separatyzm — *Zofja Miszewska*. Pod skrzydlatym czepeczkiem — *Stefanja Podhorska-Okolom*. Poezje: „Narcyzy“ — *M. Czerkawska*. Szczęście Simy — *Wanda Borudzka*. Szkice o kobiecie marokańskiej — *Julja Lachowicz-Dubal*. Królowa powietrza — *T. K.* Kultura estetyczna — *Stanisław Machniewicz*. Z teatrów — *S. P. O. S. p.* Władysław Orkan (Smreczyński) — *S. P. O.* Kobieta w świecie i w domu. Jak się uczyły amerykanki w Polsce (dok.) — *Marja Werten*. Gry w piłkę — *M. K.* Zwalczenie chrabąszcza majowego — *J. Neyman*. Odżywianie w ciąży na wiosnę — *Marja Morzkowska*. Przepisy gospodarskie — *Pani Elżbieta*. Koło studjów gospodarstwa domowego — *Marja Ankiemczowa*. Dobre rady. Dodatek „Nasza Mównica“. Dodatek „Mody i roboty“: Redingotes — *Well*. Dodatek powieściowy: „Kraska w jarzębinie“ — *Zofja Reutt-Witkowska*. Arkusz wzorów.

NIEBEZPIECZNY SEPARATYZM

Z wielu słów, oplatających obecnie sprawę kobiecą, z powodzi dyskusyj, wyjaśnień i wniosków — myślą, bijącą w sedno sprawy, jest jedno z wypowiedzeń p. Herminji Naglerowej, zawarte w jej artykule p. t. „Sprawa kobieca“. Brzmi ono, jak następuje:

„Nasz rozpęd twórczy nie jest sezonowym kaprysem, ale wielkim ruchem społecznym, którego ideologicznym podłożem jest sprawa ludzkości. Napozór walczymy tylko o własną pozycję materialną, o swoje własne prawo przeciw codziennej krzywdzie; ale pozatem — co najłatwiej rzuca się w oczy, bo jest związane z dniem bieżącym — kobiety zdołały już dziś udźwignąć olbrzymi kompleks zagadnień humanitarnych i ogólnoludzkich“.

P. Naglerowa wstawiła to zdanie między innymi, jak gdyby na uboczu rozpatrywanego przez siebie zagadnienia; jednak kwestja, poruszona przez nią, powinna zwrócić uwagę na zmiany, powstające na terenie sprawy kobiecej. Szła ona bowiem dotąd oddzielnym korytem, patrząc tylko w swoją treść, jakgdyby w tej osobności mogła odnaleźć maximum siły.

Wszelkie fazy, które z taką wnikliwością odnalazła i zanotowała p. Naglerowa, tkwiły całkowicie w jednostronności własnej treści. Oczywiście, że i trzecia, t. j. nam współczesna faza, faza zrealizowania postulatów, nie jest rewolucją metody pracy, jednak poczyna się przeistaczać z jedności ideowej w kompleks, któremu — kto wie — czy nie będzie na imię: ludzkość.

Humanitaryzm sprawy kobiecej, poruszony przez p. Naglerową, jest pierwszym bodaj, choć może

nawet mimowolnym spostrzeżeniem zmian, które już teraz zaczynają dorastać do rozmiaru faktów. Na tych zmianach zaś spoczywa cały wielki ciężar zagadnienia, ujętego przez szan. autorkę artykułu w syntetycznym rozgraniczeniu — my i wy.

Bo, o ile można sądzić, p. Naglerowej chodzi o stosunek młodego pokolenia kobiet do sprawy kobiecej w tym dawnym, tradycyjnym i, na dzisiejsze stosunki, cokolwiek wąskim zakresie. Pokolenie, które wypracowało sprawę kobiecą, wypracowało ją na odwiecznych kanonach walki. Z niej powstał jakiś dziwnie zaciekły separatyzm, dzielący wszelkie sprawy na ludzkie (tak!) i... kobiece. Spraw męskich w tem znaczeniu nigdy, jako żywo, nie było, i to właśnie nasuwa poniekąd myśl o niewspółmierności tych dwóch obozów.

Można się jednak zgodzić, że w okresie początkowych przygotowań, w okresie gwałtownego dorastania kobiet do przeciętnego poziomu, oddzielność pewna była konieczna. Trzeba było silnie zaakcentować własną indywidualność, przez wyraźne zgrupowanie sił, aby utworzyć sobie drogę do zrównania z innymi. Obecna faza jest jednak, zgodnie ze zdaniem p. Naglerowej, fazą realizowania postulatów. Kobiety dociągnęły się mniej więcej do linii ogólnej, wobec czego ich sprawy powinny wejść do rzędu spraw ogólnoludzkich.

Tymczasem z jakimś dziwnym uporem, czy zaślepieniem, sprawa kobieca kołaczy się ciągle po świecie, jako odrębne zjawisko. Dawne działaczki trzymają się poprzedniej drogi, budując wymarzone zwycię-

stwa na doświadczeniu lat odległych od współczesności. Dopiero właśnie młode pokolenie raczej intuicją, niż wyrozumowaniem, raczej odrębnym wyrobieniem umysłu, niż tradycją doktryn — odnalazło istotę zmian w życiu i jego przejawach i czempredziej stare drogi skierowało na nowe tory. Nigdy nie zgodzę się na to, że młode pokolenie kobiet jest bezideowe i bezczynne. Ono tylko swą ideowość i swój czyn zamknęło w ramach innego kształtu, niż tego chciały działaczki dawnego autoramentu: w ramach, którym na imię jest już nie kobieta, a — człowiek.

Stosunek ten wyrósł na wzmożonym poczuciu własnej wartości. Nie trzeba się już piąć wyżej, ani rozpychać między silniejszymi. Stoimy w gronie oficjalnych współzawodników życia, mamy swoje miejsce kolejne, nikt go nam nie jest w stanie zająć. Pozostały do wywalczenia najwyżej pewne drobiazgi lub niedokładności, ale załatwi się to już bezgłośnie, obok innych spraw.

Takiej postawy młodego pokolenia nie można nazwać rezygnacją, albo odstępstwem. Jest to tylko przewartościowanie dawnych wartości i rozszerzenie horyzontu. Nie sądzę przytem, aby sprawa kobieca była teraz taka modna: jest ona właśnie cokolwiek „démodée“, trochę z zeszłego sezonu, to znaczy, można ją nosić, ale trzeba trochę przerobić. Młode pokolenie kobiet przerabia ją właśnie i to bardzo skutecznie: został zdjęty szyld — sprawa kobieca — ale pozostała istota rzeczy: praca kobiet i jej wyniki na wszystkich polach.

Życie młodych kobiet nie płynie ani w bezmyślności, ani w bezczynności. Prawda, że mało się garną do stowarzyszeń wybitnie kobiecych, ale, jak to już wyżej było wspomniane, taka wyłączność nie może zadowolnić ich obecnie rozległych, że się tak wyrażę, „uczłowieczonych“ aspiracyj. Natomiast w stowarzyszeniach ogólnych, o jaknajróżnorodniejszych celach, pracuje świetnie ogromny procent kobiet, zdobywając sobie szacunek i uznanie kolegów. Czy traci na tem sprawa kobieca? — Sądzę, że nie, bo młodzież żeńska poprostu posunęła się tylko o krok dalej w poczynaniach.

Umysł współczesnej kobiety nie może już iść cia

snem korytem ekskluzywności. Nie uznaje „spraw, mogących interesować kobiety“, bo interesują go wszystkie sprawy wogóle, a kobiece tylko między innymi.

Dlaczegoż świat, w swem wiekuistym dążeniu do prawdy, ma się wiecznie dzielić na „ludzi“ i na „kobiety?“. Dlaczego ma istnieć walka społeczna między kobietą a mężczyzną, a nie normalne, powiedzmy, współzawodnictwo między dwoma pracownikami? A dlaczego nie współpraca dwojga ludzi?

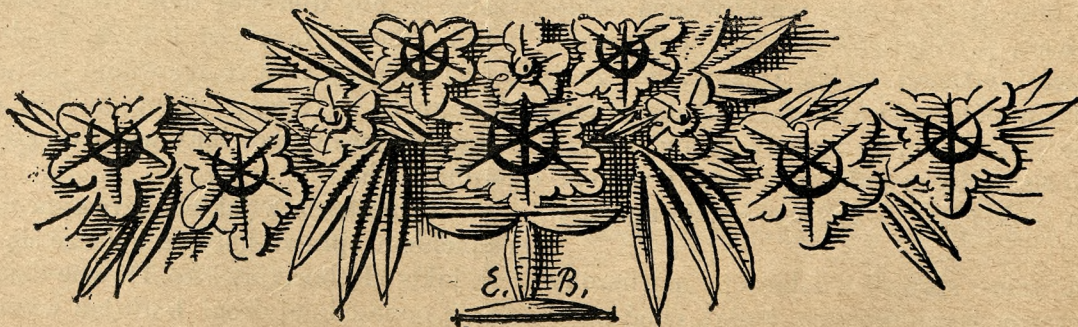
Wszystko na świecie musi dojść do swego końca, nawet walka o sprawę kobiecą. Obecnie linja jest już nieomal osiągnięta, a chodzi tylko o utrzymanie się na poziomie. Droga do tego — to już nie walka, nie okrzyk bojowy kobiety, czy mężczyzny, ale trwanie na stanowisku równego wobec równych.

Wszelkie oddzielanie sprawy kobiecej od ogólnoludzkiej jest poprostu dowodem słabości. Kobiety dzisiejsze zmieszały swoją kobiecość z tłumem ludzi, aby zniszczyć tę, rozpaczliwie przez dawne kobiety strzeżoną, *linję demarkacyjną*. Nie jest ona już dziś potrzebna. Ciężar pracy spoczywa nie na barkach kobiecych ugrupowań, ale na odpowiedzialności jednostek.

Zagadnienie, mające za punkt wyjścia sprawę kobiecą, rozszerzyło swoje granice i wchłonęło całość życia i jego przejawów. Umysł kobiecy stał się zaborczy, wnika wszędzie i wszystko bada. Dawne granice jego działalności zostały zniesione siłą ekspansji, i nigdy już chyba kobieta nie powróci do dawnych rejonów myśli, bo oto dojrzały zagadnienia o nowej sile i dalszym zasięgu, przystosowane do umysłu kobiet, wyszkolonego po męsku.

Dawne pokolenie działaczek gubi się jeszcze trochę w nowych warunkach myśli kobiecej. Młode — opanowało sytuację odrazu, i stąd żal i gorycz z jednej strony, a młodzieńcza pewność siebie — z drugiej. Zwykła, odwieczna walka pokoleń! Na dnie jej jednak, także odwiecznie, leży przecież miłość, która prędzej czy później doprowadzi do porozumienia. Najważniejszym jest to, że każdy czyn kobiety zawsze będzie nosił znamię jej kobiecości i, jako taki, będzie oceniony, wobec czego sprawa kobieca ciągle idzie na przód.

Zofja Miszewska.



STEFANJA PODHORSKA-OKOŁÓW

POD SKRZYDLATYM CZEPECZKIEM

(Wrażenia z Warszawskiej Szkoły Pielęgniarstwa)

Kilka dni temu w obecności Pani Prezydentowej Mościckiej, licznych przedstawicieli władz, instytucyj, prasy, przy udziale tłumu osób zaproszonych odbyło się uroczyste poświęcenie przez ks. biskupa Szlagowskiego gmachu Szkoły Pielęgniarstwa przy ul. Koszykowej 78.

Akt ten, podczas którego obecni, dzięki rzeczowemu referatowi dr. Czesława Wroczyńskiego, prezesa rady fundacji, mogli zapoznać się dokładnie z historją pielęgniarstwa zarówno zakonnego, jak świeckiego — był czymś więcej, niż jedną z licznych uroczystości półoficjalnych: był wielką manifestacją propagandową zdrowia publicznego, tego bóstwa nowoczesności, które u nas należy jeszcze do postaci mitologicznych.

W kraju, gdzie kołtun jest mniejszą rzadkością od zębora, gdzie gruźlica zmiata corocznie tysiące ofiar, gdzie armja kobiet rodzących na wsi jest pozbawiona należyj im opieki sanitarnej, nawet tej najelementarniejszej, jaką ma każdy żołnierz w polu czasu wojny, gdzie rzesze obłąkanych chodzą luzem, bo niema komu się nimi zająć, w kraju, gdzie jaglica u dzieci proletarjatu jest przypadłością niemal równie pospolitą, jak katar u dzieci inteligencji, gdzie znachorstwo kwitnie tuż za progiem stolicy — w takim kraju zadanie pielęgniarki, higienistki i opiekunki zdrowia urasta do wysokości posłannictwa.

Nie chodzi tu, bowiem, jedynie o doraźną pomoc, czy opiekę podczas choroby, w szpitalu, lub w domu prywatnym, ale o stałą akcję zaszczepiania szerokim warstwom najprostszycj zasad higieny i czystości, wdrażania ich do kultury fizycznej, bez której kultura duchowa jest nie do pomyslenia.

Pielęgniarka, czy społeczna opiekunka zdrowia dotrze tam, dokąd lekarz niezawsze dotrzeć może — aż na samo dno nędzy i opuszczenia; tam, gdzie bije zatrute źródło wszystkich chorób świata. Oczyszczyć to źródło, unieszkodliwić jady, odwrócić ostrze zła przeciw niemu samemu, nietylko ulżyć cierpieniom istniejącym, ale zapobiec tym, których można uniknąć, nietylko otrzeć śmiertelny pot z czoła umęczonej ludzkości, ale krople tego potu zmienić w ożywczą rosę na kielkujące jutro — oto zadanie pielęgniarki przyszłości, tej nowoczesnej świeckiej misjonarki zdrowia, którą przez dżunglę ludzką poprowadzi ten sam ideał Chrystusowy, jaki jej nieustraszonej siostrze zakonnej przyświeca w puszczech tropikalnych i tundrach podbiegunowych.

Żeby temu zadaniu sprostać, trzeba mieć pod skrzydlatym czepeczkiem dobrze działający i naoli-

wiony mechanizm mózgu, a pod śnieżnym fartuchem pielęgniariskim — mocno i równo bijące serce. Mam wrażenie, że na pielęgniarki powinny iść jednostki o typie głowy t. zw. „otwartej“, do której z łatwością znajdą dostęp i przesączą się te wszystkie strumienie wiedzy i techniki zawodowej, z jakich ma czerpać w ciągu ośmiu miesięcy wykładów teoretycznych i dwudziestu ośmiu miesięcy praktyki w klinikach.

Umiejętny dobór kandydatek, pod kątem widzenia zdolności, jest niewątpliwie sprawą ważną, ale nie najważniejszą. Umysł można zawsze rozwinąć drogą kształcenia. Inaczej — serce. Z sercem człowiek się rodzi. Serce u pielęgniarki — to słońce w systemie planetarnym, około którego wszystko się obraca. Wola powinna regulować tempo tego serca; rozum powinien dać mu właściwy kierunek. Tu nie może wchodzić w grę chwilowa egzaltacja, poryw marzycielstwa, doraźny wybuch fermentujących sił młodości. Na podbój świata od strony jego najbardziej zagrożonego frontu trzeba iść z miarowym, normalnym pulsem. Stały, równy, niesłabnący zapał musi być rozczynem, na którym wyrośnie chleb pielęgniariski. Obniżenie temperatury tego zapału spowodować może zmarnowanie wypieku: zakalec.

Zdarzają się w życiu każdego człowieka momenty zniechęcenia, apatji, bezradności. Jest to sygnał ostrzegawczy, że dana jednostka znajduje się na fałszywej drodze. Dla pielęgniarki — to znak, że poszła po linii najmniejszego oporu, że minęła się ze swoim powołaniem. A powołaniem tem jest czynna i nieustająca służba w walce ze śmiercią i z chorobą; stanowiskiem — nie reduca, dobrze ufortyfikowana, ale najbardziej wysunięte w głąb wrogiego terytorjum forpoczty, placówki, z których cofnąć się nie wolno, choćby przyszło zginać, ratownicze wysepki, pływające po morzu zła, które muszą urosnąć w lądy.

Polska w chwili obecnej potrzebuje piętnastu tysięcy pielęgniarek. Warszawska Szkoła Pielęgniarstwa obliczona jest na sto uczennic. Oprócz tego na przestrzeni całej Polski istnieje jeszcze pięć czy sześć szkół pielęgniariskich. Jest to niewątpliwie kropla w morzu, ale przypomnijmy sobie na pociechę, że właśnie krople drążą skały. To porównanie przyszło mi na myśl, kiedy po poświęceniu zwiedzaliśmy tłumnie dom pielęgniarek. Snuły się obok nas bezszelestnie te kropelki szare, perłowe, śnieżno-białe — oprowadzały po salach wykładowych, pracowniach, pokojach mieszkalnych, tarasach. Udzielały objaśnień krótkich, zwięzłych, rzeczowych, pełnych tego wdzięku, jaki daje prawdziwe umiłowanie swego zawodu.

Ale pozatem promieniowało z nich coś, co zrozumiałam dopiero, znalazłszy się znowu w gwarze i zamęcie ulicy. To była dusza tego domu. Ona czyni zeń jakiś inny, lepszy świat. Ona, od piwnic do tarasów na dachu, napelnia go czarodziejskim płynem: substancją pogody, ciszy, skupienia, kojącą, jak balsam. Niewidzialna, żyje w każdym, pozornie martwym przedmiocie.

Już od progu ogarnia przybysza swoista atmosfera wnętrza, z której narazie nie może sobie zdać sprawy. W pierwszym momencie doświadcza się wrażenia niesłuchanego komfortu. Dopiero po chwili przychodzi opamiętanie, że przecież tych kilka klubowych foteli w „salonie“, parę sztychów na ścianach, doniczki z kwitnącymi roślinami w oknach, haftowane serwetki na stolikach — to przecież nie zbytek, to estetyka prostoty, niemal że ubóstwa. Tylko my tak już przywykliśmy do wypłowiałych (dobrze, jeżeli nie brudnych i obdartych) tapet, do okopconych przez dymiące piece sufitów, do opadającego tynku, niechlujnych klatek schodowych, wewnątrz, w których jest duszno od natłoku niepotrzebnych ludzi i niepotrzebnych gratów — że racjonalne użytkowanie przestrzeni, gładkość ścian i ścisła celowość sprzętów sprawia na nas wrażenie odświeżające, niemal ceremonialne. I człowiek nie wierzy własnym oczom, ale musi wierzyć faktom, że tak, jak jest, jest na codzień, bo przecież ten dom od roku już jest zamieszkały.

Co zeń czyni mały Eden schludności i pogody? Czystość i ład, prostota i słońce. O tym domu nie można powiedzieć, że jest znakomicie sprzątnięty, że jest wzorowo utrzymany: on jest poprostu — wydmuchany. Kurz skazano w nim na bezpowrotną banicję. Najdrobniejszą jego okruszynkę, skoro się ukaże, zmiatają niewidzialne skrzydła anioła, któremu na imię: organizacja.

Spędziłam w tym domu parę godzin podczas uroczystości, która zazwyczaj wprowadza zupełnie zrozumiałą zamęt. Tu tego zamętu nie było. Wszystko szło, jak w zegarku, wszystko było przewidziane. Zwartą rzekę zwiedzających rozłamywano na fale i pilotowano po gmachu z taką swobodą i wprawą, jakby podobna żegluga odbywała się codzień.

Mała armja pielęgniarek sprawna jest i karna, choć w jej rozmieszczeniu szczęśliwie uniknięto skoszarowania. Dwuosobowe pokoiki dla młodszych, pojedyncze dla starszych uczennic dają niewątpliwie możliwość pewnego zindywidualizowania się i wewnętrznej swobody. A przytem to poczucie, że się jest u siebie, w swoim własnym pokoiku. I to w jakim pokoiku! Niejedna panienska z tak zwanego inteligentnego domu z westchnieniem tajonej zazdrości rzuci okiem na te białe gniazdka, nalane słońcem po brzegi, gniazdka, z których co roku wyfrunie stadko skrzydlatych czepeczków na wyraj, na podbój cierpienia czynem radosnym.

Gmach Szkoły Pielęgniarstwa jest tak szczęśliwie usytuowany, że w najbliższym otoczeniu nie ma sąsiadów równego sobie wzrostu. Otaczają go ogrody, place, niezabudowane tereny szkoły inżynierji wojskowej, politechniki i t. d. W domu, do którego wszystkimi oknami patrzy niebo, nikt nie może być smutny lub zniechęcony. Słońce, ten najlepszy dezynfektor dusz, zabija w zarodku bakterje melancholji. Ono panuje wszechwładnie na rozległych tarasach, skąd skrzydlate czepeczki patrzą w dal, za lotnisko, gdzie czekają na nie światy do zdobycia. W blaskach majowego południa, między niebem a ziemią białe i szare mewy kąpią się w słońcu i wicherze, prostując skrzydła do lotu.

Bo kto ma być zwycięzcą w walce z ciemnością, ten musi mieć słońce w duszy.



M. CZERKAWSKA

NARCYZY

*Chociaż śmiał mytęskniły z nocy fioletów,
A z ciszy sygnaturkę skomronka poranną,
Stoją na grzędzie blade, z twarzami ascetów
Nad liści polysklima, faldzistą sutanną.*

*Jak klerycy, co rzędem mychodzą z klasztoru,
Zaręczeni z pokorą, poślubieni smutkom,
Każdy ma twarz poblada, anemiczną, chora,
A oczy okolone czerwona obroódka.*

*Mało wiedzą o życiu, zbyt mało, nie prawie...
A że mrokół kochają i walczą ziół tłumy,
Nie pojmują, strwożone, jak w tej bujnej trawie
Strzec się będą od złości, rozkoszy i dumy.*

WANDA BORUDZKA

SZCZĘŚCIE SIMY

Z cyklu opowiadań z Bolszeroji „Kurz na olimkach“

Rano Sima jest rywalką.

Kraży po bazarze, zostawiając ślady bosych nóg w puszystej warstwie białego kurzu. Na ręczniku, przewieszonym przez ramię, ma pięknie wyhaftowanego czerwonego koguta. Cóż znaczy wobec świetnego towaru tej lotnej spekulantki para podniszczonych pantofli, blaszany lichtarz i złoto oprawiony tom Puszkina innych sprzedawców? O mojej podartej firance lepiej nie wspominać. Niebardzo kto chce spojrzeć na nią.

Po godzinie można zobaczyć zamaszystą postać, twarz koloru niedopieczonej bułeczki i czarny chiński koczek w rejonie bab, sprzedających podśmietanie, snopki trawy dla kóz i pęczki marchwi. Czerwonego koguta już niema, Sima więc ma obiad zapewniony. Jakoś o tym czasie chłop z wozu kiwnął palcem na mój burżuazyjny zabytek i schował go do dziurawego worka. Niewiele co można kupić za podartą firankę: będą kartofle i pomidory na oleju.

Z bazaru wracamy razem. Sima drepcze energicznie po drewnianym chodniku, który dudni pod bosą piętą. Dyskretnie wpuszcza do mego chudego kosza główkę buraczaną i żółtą dynkę, która nie służy do niczego. Nawet pestki ma niejadalne. Element dziewczyny wsi hoduje ją na grządkach pod chatami, żeby potem zdołała parapety okien. Takie sobie poetyzowanie wiejskiego serca.

Ciepły uśmiech świadczy o szczerości daru. W okrągłych, czarnych oczach niema jednak rzetelnego współczucia; wyrosnąć mogłoby jedynie na miejscu doszczętnie wypalonego triumfu, którego Sima, swobodnie dysponująca rodzinnym funduszem, nie może ukryć, lustrując ukradkiem swoją szczerze wypełnioną kobiałkę.

W porze obiadowej Sima staje się koleżanką. Nie waha się przestąpić wysokiego progu mojej kuchni, który kozy codziennie nadgryzają, ale nie mogą jakoś obniżyć. W godzinach gotowania jest to ciche bohaterstwo. Ustawa domowa głosi: drzwi mają być zamknięte, żeby gorąc nie szedł do pokoi. Okna są zabite i wiedzą o tem dobrze kurczęta, obfłukujące szyby dziobami od podwórza. Słońce zlewa blaszany dach ognistą ciecżą. Koszula kompresem lgnie do grzbietu.

(Martinie Edenie, bracie mój w pralni! Ty wiesz, ty wiesz najlepiej. Pójść z tobą, rzucić nasze głowy w soczysty gąszcz nad brzegiem pierwszej wody!

Nie, nie dojdziemy do porozumienia. Ruth obca, Ruth niegodna zimnym kamieniem zalega dno twojego serca. Zostaniemy każde z osobna w tym pierwszym kręgu piekła).

Sima nie przyszła bez kozery. Wlot zmiarkowała podejrzanym dymieniem patelni i dołała do niej oleju z przyniesionej butelki.

Kiedy już wszystko jest na ukończeniu, można pójść z koleżeńską rewizytą. Izba jest wielka i chłodna. Dostępu do okna strzeże łopuch, rozkładający na dachu górne piętro liści. Dlatego w kuchni Simy jest zielono. Można ostrożnie, żeby strażnika nie urazić, sięść na parapecie w rozwartości szyb i przyjąć poczęstunek: placek kartoflany na widelcu.

Kurczęta piskolą pod ławą. Jedno z nich siedzi na głowie kota. Układ tej grupy świadczy, że matkatura spuściła ją na chwilę z oka.

Ile czasu schnie koszula na słońcu? Minutę. Sima też ma koczek na nowo przyładzony. Wykwint ten mówi o skończonej robociźnie. Ogródek służy jak najlepiej poobiedniej rekreacji. Maków jest pięć, nagietek osiem. Sześć morelowych drzewek. Reszta to trawa.

(Stoki barwinkowe, stawie srebrny i złoty, gąszcz nieprzebite, sokiem zielonym płynące! Czyż poruszyłyście kiedy serce tak, jak te chude drzewka morelowe?)

Sima wyciąga się na skąpej murawie i miele w zębach żdźbło perzu. Minęła pora rywalizacji i koleżeństwa. Jest teraz przyjaciółką. Nie marszczy brwi, kiedy wspomni, że chociaż, jako znajdka, nie należy do rodziny, odpowiada za całość portek braciszka Tani, która prowadzi żywot paniński na leżaku, myśląc o kimś, co się kuruje z ran w Marsylji. Do myśli tych trzeba mieć dużo godzin i mało obowiązków. Sima nie ma nikogo w Europie, ale i czasu też. Jak teraz — dwie godziny, póki nie wrócą kozy.

Dużo jest spraw do omówienia. Właściwie jedna, ale codziennie staje się ważniejsza. Wszystko na nic, jeśli zaskoczy zima. Sima także chce ze mną iść do kraju, gdzie bez dygotu, że ktoś podsłucha, można uzalić się przy otwartych okiennicach — a może tam nie trzeba będzie się uzalać?

Worek sucharów. Dwie koszule. Będzie się sprzedawać słoneczniki. Soli nie wolno! Za sól jest bardzo wielka kara. Z miejsca na miejsce zabrania się przenosić dary boże, a raczej miłościwie panującej rewolucji. Po sól też zdrowo stać w ogonku. Słonecznik — owszem. Każdemu jest potrzebny. Na ten artykuł handlu władza przymyka oko.

Każdej większej stacji trzeba będzie myć podłogę. To — dla schludności i za włóczęgostwo. Coby to było, żeby tak ludzie wolno sobie wędrowali?

Licząc ze wszystkim: trzy miesiące drogi. To nic. Razem nie straszno i cieplej będzie spać w kopicach.

Tam na miejscu też nie odrazu pójdzie gładko. Trykotaże — to najlepsze. Praca spokojna. Albo nośić cegły. To cóż, że ciężko? Oddychać będzie lekko w wolnym kraju. Gruby fartuch, żeby się odzież nie niszczyła. Budują napewno. Domy potrzebne wszystkim. Dom...

Sima milczy. Sima nie słucha. Sima nie chce!!! (O goryczy, goryczy, lodowaty lęku samotnej wędrówki!)

Sima patrzy na złocistą kurzawę zachodu, daleko za podwórkiem, króliczem półkiem owsa i przydrożnymi oliwkami. Pożuty perz wypluła w małą garstkę. Dom... (to już powtarza Sima). Uśmiecha się płochliwie i uprzejmie, jak odchodzący, co nie zostawiają nic za sobą, albo pozostający, bo ich coś najdroższego trzyma. I nagle — o głupoto, tępoto, egoizmie! To noc majowa wzięła Simę. Jakże tu było z pustym sercem przetrwać noc majową?

Znikając z ziemi, raj się rozproszył po niej zakątkami. Jak wiele rzeczy ślicznych, kwitną w maju. Jeden z nich darował się, jak łaska, naszym oczom.

Na tej majówce, na którą nas pewnego razu zaproszono; nieprawdą okazało się przypaść do równiny, płowe od kurzu miasteczko. Dom przestronny, o przezroczystej, pachnącej atmosferze, stał w ogrodzie, jak w zielonej zatoce. Kwitł panięmskim pokojem, o delikatnie falujących firankach. Krzaki jaśminowe — w domu mówiono: bukiety — stały po kątach. Przy stole jadło się srebrnymi nożami i widelcami. Miód i masło w misternych kulkach na białym chlebie! Czy to prawda, że widelce trzeba było odnieść na targ i prościej było jeść drewnianą łyżką? W kryształowych dzbanach musowała woda z sokiem brzoskwiniowym.

Nie była to zwykła wizyta u „specy“, któremu dano spokój z rekwizycją. Sima wie o tem i przez stół zaśmiewa się, że mogła przedtem tak pomyśleć. Gdzież się podział misterny koczek? Czarne loki opadają na białą sukienkę, nie z merli przecież! z muślinu. Twarz anemicznej bruneteczki ma białość mlecznego szkła. Sima wychyla się z okna i zrywa z krzaka malutką kulkę, która przy lampie ma kolor majowego masła. To róża. Nagły okrzyk — radości? — powoduje zwinny wskok przez okno jakiejś męskiej, kocio zręcznej postaci. Sąsiad. Mieszka w domu obok. Słyszał, że są goście. Przeprasza, że może nastraszył. A czy nie lepiej byłoby pójść do ogrodu?

Nietylko lepiej, ale inaczej niepodobna. Taka noc przecież, taka noc. Pod rozpiętymi wysoko różyczkami leży się pokotem na derkach. Nie, na trawie cienkie suknie nasiąkną wilgocią. Rozmawia się i milczy. Jak kto woli. Już pewno późno? Nie, takiej nocy nie spędza się pod dachem. Tu się doczeka świtu. Tyśiąć i jeden zapachów krzyżuje się nad głowami. Słowik. Jakże tu mówić o słowicznym śpiewie? O tem — nie wolno. Ani słowa. Rosa. Och, komuż to i kiedy wyjadła oczy? Leży na ustach. Pachnie. Poi spieczony wzruszeniem naskórek. Pada z gwiazd. A może to gwiazdy spadły? bo już ich niema. Znalazły się zato jeden po drugim wszystkie ptaki, które noc pochowała w gałęzi.

Któż to wymyślił różane palce jutrzence? Ma całe ciało różane. I na jej tle ten drugi dom jawi się nagle oczom. Może zstąpił z nieba? Drewniany, szeroko rozpostarty. Na pustej werandzie stoi leżak. Ma płótno oderwane z jednej strony. Okna zamknięte, jakby nikt w nim nie mieszkał. „To mój dom“ — slychać czyjś głos, schrypnięty od wzruszenia. I ktoś całuje rękę Simy.

Może to słońce złotem oszklilo czarne, już nie okrągłe, oczy? Sima patrzy. I już jest wszystko jasne, bo przecie noc minęła.

Żółte róże oplotą tę pustą werandę. Otworzą się na słońce falujące firankami szyby. Zapachnie chlebem i miodem. Zaludni się tu, zapełni, macierzyńską krzątanią. Sima patrzy. Tak na ul swój patrzy pszczoła. Robotnica? Nie. Królowa? Nie. Królowa-robotnica.

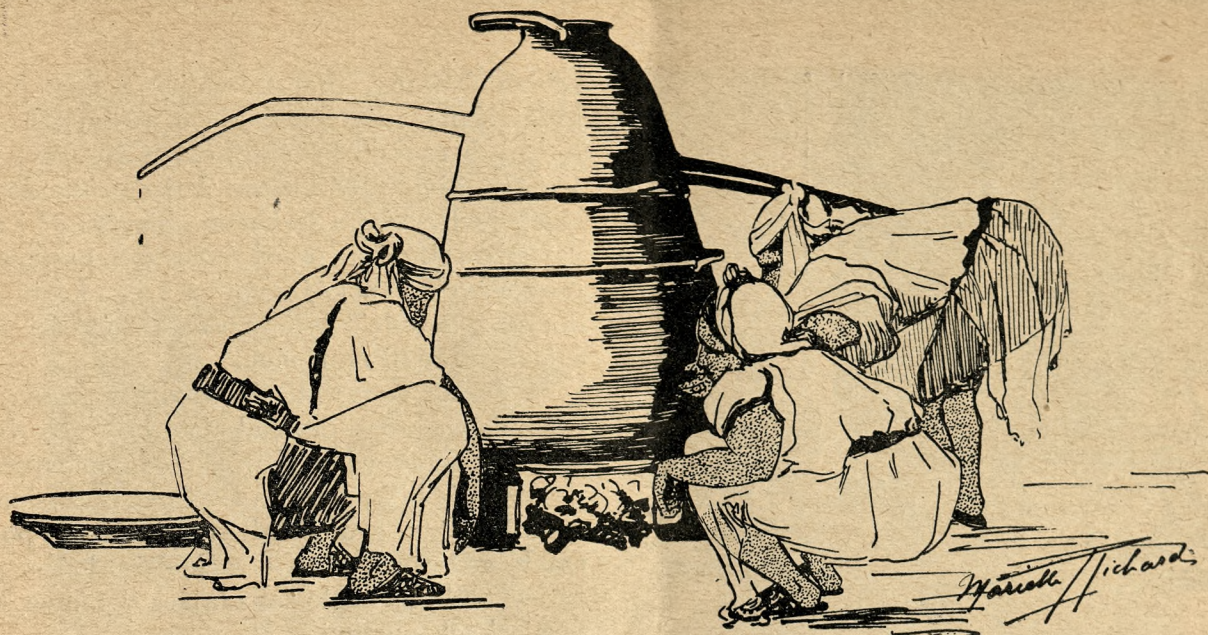
(Może i nie straszno będzie iść samej dalekimi taśmami dróg, włóknami ścieżek, żwirem przeszkód, wiedząc, że się zostawia kogoś szczęśliwego?)

List z Rosji przyszedł, zapisany pomyjkowym atramentem:

„Niedawno sprawiłam sobie palto. Ale materiał był niedobry i wyrudziało. Mieszkam, jak dawniej, z Tanią i jej rodziną, ale w jednym pokoiku. Cieszę się, że masz ładne mieszkanie. I nie potrzebowałaś nawet nosić cegieł“.

Nie masz więc domu, Simo. I ja go nie mam. I nikt. Namiot tylko możemy rozbić pod słońcem, pod chmurą, pod gwiazdą. Wiatr szarpie skrzydłem.





Przygotowywanie wody różanej.

JULJA LACHOWICZ-DUVAL

2)

SZKICE O KOBIECIE MAROKAŃSKIEJ

Z oryginalnemi rysunkami Marietty Richard.

Dzień kobiety upływa na ciągłym czuwaniu. W ciszy swojego domu wyteżę słuch; wszystko żyje naokoło niej. Gdy gorącą wodę wylewa do zlewu, nie omieszka nigdy uprzedzić ukryte w nim „żnuny“¹⁾, aby się miały na bacności. Szeptę więc:

„Bismillah“ — „w imię Boże“.

Gdy rozczytnia ciasto, lub zasiada do niziutkiego stołu w gronie dzieci, z którymi wieczrę ma spożyć zdala od mężczyzn, to samo słowo w skupieniu wymawia. Nie jest ono bynajmniej wzniesieniem myśli do Boga, nie: odpędza w ten sposób „żnuny“, które czyhają na jądło, aby jego najpożywniejsze części dla siebie zagarnąć.

Gdy, żegnając się z przyjaciółkami, obiecuję odwieść je wkrótce, wszystkie chórem odpowiadają mi: „in szah Allah“²⁾.

Powtarza to kilkakrotnie pani domu, i dzieci, i niewolnice, które piły z nami herbatę, przykucnąwszy u drzwi: kędzierzawa Mesauda, której imię znaczy „szczęśliwy los“, i czarna Yasmin, i Nur Sbah „światłość dnia“, o grubych fioletowych wargach, i Uruda „różyczka“, o twarzy ciemnej, ospowatej.

Zapytacie mnie, dlaczego te piękne imiona dla tak brzydkich postaci? Powodzenie dnia zależy od pierwszego wrażenia po obudzeniu: złego lub dobrego. Wołając na niewolnicę, „Pani wszystkich rzeczy“³⁾, wymawia imię o wdzięcznym znaczeniu, dzień jej upłynie szczęśliwie. Dla nieznających języka wyraz posłyszany jest zwykłą nazwą; dla wtajemniczonych

w arkana przesądów jest wezwaniem sił niewidzialnych i tarczą przeciw złemu.

Umysłowości nasze są tak dalekie od siebie, że nie wspólnego, prócz wzajemnej ciekawości, nas z sobą nie łączy. Te siedzące na niziutkich materacach z podwiniętymi nogami, bajkowe księżniczki są dla nas zagadką. Dobrotliwe, łagodne i mściwe zarazem; lubią dzieci, ale nie dbają o nie, strata ich nie wywołuje nieutulonego żalu, co nas, matki, dziwi niepomniernie. Umarło dziecko... „mektub“ — tak napisane w księdze przeznaczeń. Zależne od męża, od zabobonnej wiary, są jakby bez woli, a prawie że bez myśli. Toteż wesołości w domu arabskim niema. Zastępuje ją jakiś obumarły spokój.

Kobiety ożywają się tylko na chwilę wśród licznych zebrań rodzinnych, kiedy „szikat“, płatne taneczki, drepczą na miejscu bezwstydnym taniec brzucha przy odgłosie „tariży“⁴⁾ i śpiewów. Strojne damy przyklaskują w takt, a gdy taneczniczka zmęczona usiądzie, przysłuchują się z zadowoleniem sprośnym opowieściom starych, bezzębnych wieźm. Tak najczęściej kończą się te uroczystości, gdzie mężczyzna nie jest dopuszczony, ale którego widmo unosi się wśród woni różanej wody i kadzidła. Obecność „Nszanji“⁵⁾ nie żenuje ich wcale.

1) „Żnuny“ — duchy złośliwe.

2) Jak Bóg da.

3) Pani domu.

4) Gliniany instrument muzyczny, rodzaj bębna.

5) Nszanja — nazarejka, chrześcijanka.



Damy arabskie piją herbatę. Przy drzwiach przykucnięte niewolnice.

Cywilizacja nie dotknęła tej uśpionej duszy, do której niema przystępu. Dalekie jej echo rozbudziło jednak w niej chęć zarobku. Za jej to podszeptem najbogatsze nawet „Lalle“ zabrały się do szycia przeróżnych części ubrania, tak męskiego, jak i kobiecego, nad którymi pracują z wielką pilnością. Sprzedają to stare niewolnice na targach, albo handlarze po sklepach. Do niedawna tylko ubogie kobiety pracowały,

robiąc dywany, przygotowując wełnę, przędąc. To była robota, niegodna białych, malutkich, arystokratycznych rączek, które od czasu do czasu tylko haftem się zajmowały. Dzisiaj, kojąca cisza domów arabskich rozbrzmiewa terkotem „Singerów“ i nie wiadomo, gdzie skryć się przed zaborczym postępem, co całą poezję życia i spokój wypiera z tego kraju, w którym dotychczas ludzie żyli w ospałej błogości, grzejąc się z jaszczurkami na słońcu.

Bogaci napawali się wonią szafranu, kminku i goździków, którą przesiąknięte były ich dania, unurzane w smakowitej oliwie. Biednym wystarczało za pożywienie kilka oliwek, fig i placki owsiane.

Wszyscy zadowalali się spacerem po cmentarzach, gdzie usiadłszy o zachodzie słońca, podziwiali czerwoną kulę, nagle zapadającą w morze, lub ginącą w piaskach pustyni.

Potem chronili się czempredziej w mury miasta, bo oto już w oddali tętent koni oznajmiał im, że horda Berberów czyha na bogaty łup.

Umierali jedni z głodu, inni na tyfus lub ospę, przed którymi bronily ich czary. Gdy nie zdołały ich ocalić, mówili „mektub“ i bez buntu kładli się na otwartych cmentarzach, gdzie wszystkie groby są równe, biedaków i bogaczy.

Tego czaru, tej swobody i prostoty w życiu i śmierci szukać trzeba teraz daleko, w kraju bitnych, nieugiętych Berberów. O kobietach ich pomówię „in szah Allah“ w przyszłym artykule.

KRÓLOWA POWIETRZA

Coraz częściej spotyka się na terenie międzynarodowych wyczynów lotniczych — *kobietę*.

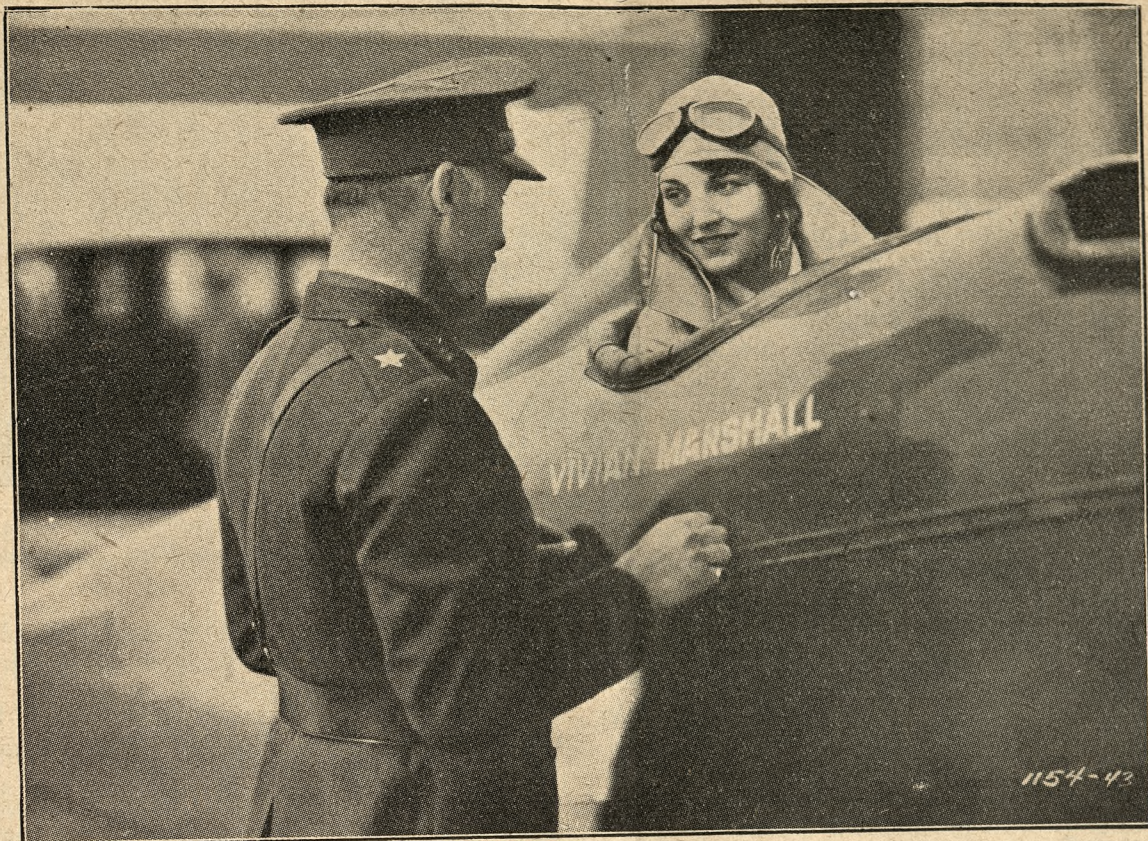
Lotnictwo pociągnęło za sobą niewiasty nieomal od samego początku swego istnienia. Historia pierwszych bojowników powietrza przynosi nam pokaźną liczbę pilotek wszelkich nacji. Były tam, oczywiście, amerykanki, były angielski, były francuzki — a między niemi dzielna baronowa de la Roche, pilotka z roku 1910, w której paryskich salonach spotykała się elita ówczesnego świata lotniczego; były belgijki, chinki, niemki; był duży procent rosjanek. Była też i polka — przedwcześnie zgasła, świetna artystka dramatyczna — Mary Mrozińska, która uczyła się pilotażu w Warszawie, w r. 1912 w „Aviacie“ — lotniczej szkole, założonej przez ks. Lubomirskiego.

Ówczesny świat lotniczy przedstawiał się zupełnie inaczej, niż dzisiaj. Ponieważ lotnictwo było wówczas w fazie wyłącznie eksperymentalnej i nie było jeszcze mowy o takim rozpowszechnieniu i praktycznym przystosowaniu go do celów wojskowych, naukowych, komunikacyjnych i handlowych, jak się to

dzieje obecnie — lotnicy z przed lat dwudziestu rekrutowali się wyłącznie z pośród sfer — jeśli, nie wręcz bogatych, to w każdym razie tak zamożnych, że dany osobnik mógł sobie pozwolić na wydanie kilkunastu i więcej tysięcy na wyszkolenie, w które wchodziła, oprócz opłaty za naukę pilotażu, znaczna kaucja pieniężna za samolot szkolny. Były też szkoły (naprz. szkoła inż. Gradego w Johanistalu w Niemczech), stawiające uczniowi za warunek obowiązkowe kupno płatowca, na którym się uczył latać.

A więc, przedwojenni piloci i pilotki byli to czystej krwi sportsmeni, których zamiłowanie pokonywania przestworzy, lub też czasem... poprostu snobizm i chęć zwrócenia na siebie ogólnej uwagi — skłaniało do zapisywania się w szeregi bojowników powietrza.

Czteroletni huragan wojenny, który dokonał takiego przewrotu we wszystkich nieomal dziedzinach życia ludzkiego, popchnął sprawę lotnictwa naprzód z nieprawdopodobną szybkością — i to nie tylko pod względem udoskonalenia konstrukcji maszyn latają-



Miss Ruth Elder, wybitna pilotka amerykańska. Photo Paramount.

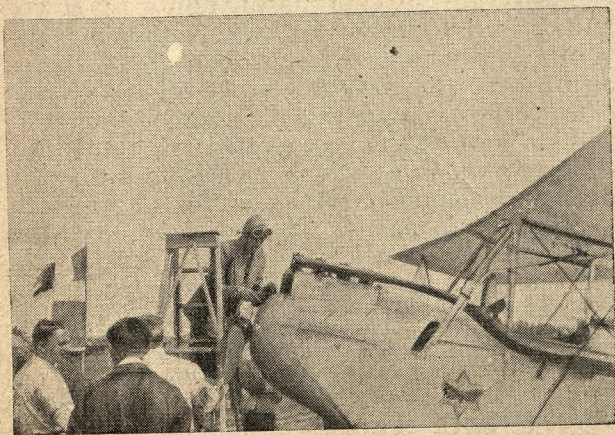
cych, wywołanego potężnym rozwojem przemysłu lotniczego pod koniec wojny, lecz i pod względem niesłychanego rozpowszechnienia lotnictwa i skierowania go na tory przystosowań praktycznych.

Od tej pory zarysowuje się coraz to ostrzejszy rozłam między lotniczym światem kobiecym, a męskim.

Dzisiejszy mężczyzna-lotnik różni się zasadniczo od przedwojennego tem, że nie potrzebuje posiadać własnego majątku, by móc latać. Wręcz przeciwnie! Pilot naszych czasów nietylko naogół nic nie wydaje na naukę latania i na kupno płatowca, lecz zarabia jeszcze, po większej części doskonale, a niekiedy nawet świetnie, jako pilot fabryczny, wojskowy lub komunikacyjny.

Wojna europejska dokonała właśnie tego cudu, że ow ideal, niedościgniony nieomal dawniej dla zwykłych śmiertelników: „móc latać” — stał się dostępny w naszych czasach, naprawdę, nawet dla najbardziej niegodnego bodaj kandydata, posiadającego, oczywiście, odpowiednie kwalifikacje pod względem energii i zdrowia. Skromny mechanik, o ile poczuł w sobie „nerw lotniczy”, może zawsze — przy odrobinie energii — dostać się na wojskowy kurs pilotażu i przejść kosztem państwa drogę przeszkolenie lotnicze, co otwiera przed nim narozcień czarowne wrota rekordów wszelkiego rodzaju, wraz ze sławą i... fortuną.

Słynny Dieudonné Costes — francuski zdobywca wielokrotnych rekordów międzynarodowych i bohater lotu naokoło świata — był zwykłym mechani-



Lady Bayley na lotnisku mokotowskim podczas raidu samolotów sportowo-turystycznych w Warszawie.



Lotniczka angielska lady Bayley (w okularach) i p. Trzcńska-Kosterbina przy aeroplanie de Havilland-Math.

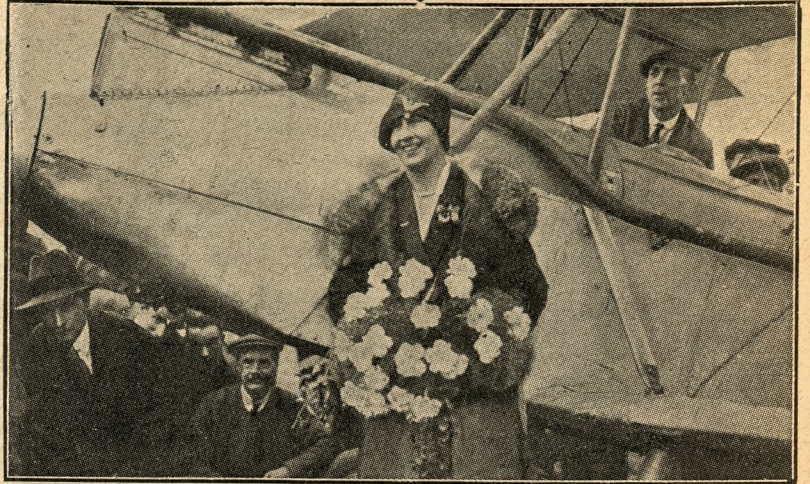
kiem płatowcowym. To samo rzecz można o wielu innych sławach, dla których lotnictwo lat temu dwadzieścia byłoby niedościgłym ideałem.

Widzimy więc, że o ile chodzi o mężczyzn — lotnictwo dzisiejsze dostępne jest naprawdę „dla wszystkich”.

Inaczej, niestety, dzieje się w świecie kobiecym. Stwierdzić muszę na wstępie, że *nie* się tu od lat dwudziestu zgorą nie zmieniło, i że, chociaż zastęp kobiet-pilotek jest coraz liczniejszy i coraz dzielniejszy — lotnictwo kobiece dostępne jest dziś, *tak jak i dawniej*, niestety, wyłącznie dla kobiet zamożnych, mogących nie tylko opłacić koszty drogiego wykształcenia prywatnego, lecz i zakupić własną maszynę, której cena wynosi tysiące dolarów.

Dla kobiety, traktującej lotnictwo ze szczerem zamiłowaniem — ukończenie szkoły bez posiadania własnego płatowca pociągnie za sobą zawsze zawód i rozgoryczenie — bo gdzież latać może?? Istnieją naprawdę — zwłaszcza w Anglii — kluby lotnicze, gdzie członkowie mogą odbywać trening na płatowcach klubowych — lecz loty takie nigdy nie dadzą zadowolenia rasowemu pilotowi, gdyż płatowiec cudzy, na którym każdy lata, równa się wierzchowcowi, którego każdy dosiada...

Jakiegokolwiek są tego przyczyny: czy od wieków zakorzeniony brak wiary w kobiece męstwo i wytrzymałość, czy może pewna odruchowa niechęć płci męskiej do żeńskiej, czy też wreszcie zwyczajna ludzka zawiść zawodowa i... zarobkowa — dość, że do dzisiaj kobiety-lotniczki nie pełnią nigdzie (nawet w Amery-



Lady Heath, mybilna pilotka angielska, która niedawno odniosła ciężkie rany wskutek katastrofy samolotowej.

ce!) czynności swych *zarodowo* — bądź na samolotach pasażerskich, bądź w fabrykach, jako pilot-oblatywacz.

Jakże się przedstawia, wobec tego, kwestja lotnictwa kobiecego w Polsce? Musimy odpowiedzieć wręcz, że *fatalnie!*

Zwracałam już nieraz uwagę, iż kobieta polska nie zdradzała do bardzo niedawna najmniejszego pędu do lotnictwa. Dopiero przed dwoma laty, z utworzeniem Akademickich Aeroklubów w Warszawie, Lwowie, Krakowie, Wilnie i Poznaniu, zgłosił się do nauki pilotażu szereg kandydatek, których pewien niły odsetek szkolono wraz z męskim kontyngentem Przynsposobienia Wojskowego. Lecz niebawem spotkał lotniczki nasze srogi zawód, gdyż władze wojskowe, które ponoszą prawie całkowicie ogromne koszty przeszkolenia Aeroklubów, zabroniły dalszego przyjmowania kobiet na kurs pilotażu. Przyznać trzeba, że zarządzenie to jest najzupełniej słuszne z praktycznego punktu widzenia. Wojsku potrzebny jest kontyngent młodych ludzi w wieku poborowym, którzy przeszli pierwsze przeszkolenie lotnicze, lecz najzupełniej niepotrzebne będą podobnie przeszkolone, początkujące pilotki.

W ten sposób odpadła dla wielu pań jedyna nadzieja wyuczenia się pilotażu, przy minimalnych kosztach — co nie jest może dla nich zbyt wielką stratą, gdyż cóżby im przyszło z otrzymania klubowego dyplomu, jeśli nie miałyby prawie żadnej możliwości odbywania bezustannego i niezbędnego treningu? Bo przecież wszystkie dotychczasowe pilotki polskie — to kobiety średniej kondycji, nie mogące pozwolić sobie na luksus taki, jakim jest zapłacenie gotówką naprz. 37 tysięcy złotych za znany na całym świecie angielski sportowy samolot typu „de Havilland-Moth”?

Tu właśnie nasuwa się jedno pytanie: dlaczego jednak w Polsce, w kraju, który posiada przecież w sferach ziemiańskich i przemysłowych kobiety bogate i nawet bardzo bogate — dla czego w kraju tym nie znalazła się dotąd jakaś „Sport-lady”, dla której lotnicze wykształcenie się w Anglii lub Francji oraz zakupienie własnego płatowca byłoby zupełnie dostępne? Jest to tem ciekawsze, iż panie z zamożniejszych sfer w Polsce oddają się oddawna z zapalem i mistrzostwem jeździe konnej — temu najpiękniejszemu sportowi poza lotnictwem. Przecież podczas zeszłorocz-



Miss Mildred Stinaff.

nego sezonu wyścigów konnych w Warszawie mieliśmy możliwość zapoznać się z p. *Iwanomską-Skinderową*, obywatelką ziemską z Litwy oraz pierwszą w Polsce kobietą-dżokejem, która zdobywała na swej klaczy „Hrabiance” jedną nagrodę po drugiej.

Zaiste — jest to zagadnienie nie tylko ciekawe, ale i dość przykre — tem więcej, iż lotnictwem, jako sportem, zajmować się może *każdy* bez ograniczenia wieku.

W Stanach Zjednoczonych zdobywa kobiecy rekord lotu na wysokość (około 9 tys. metrów) 20-letnia panna *Elinor Smith*, znacznie starsza od niej angielska *Lady Bayley* — matka kilkorga dzieci i świetna sportsmenka — otrzymuje niedawno od króla angielskiego honorowy tytuł „Lady Angli” za brawurowy przelot wzdłuż Afryki i za inne wyczyny lotnicze. Czyż więc wśród pań polskich, uprawiających harce na koniu, i raidy automobilowe, nie znajdzie się żadna, która zechciałaby spróbować harców w przestrzeni na koniach... mechanicznych i dać znać w ten sposób światu, że polskie lotnictwo — to także i *kobiety*? T. K.

KULTURA ESTETYCZNA

Motto: ...Nie mamy nic do kopjowania, a mimo to odsyła się nas ciągle do starożytnych, w tej naszej sztuce, tak wyłącznie dzisiejszej. Zresztą, naśladowanie nie doprowadza do niczego. Trzebaby z ciała i ducha być podobnym do artystów przeszłości, aby móc dalej ciągnąć ich sztukę. Pojmuję z trudnością myśli pokolenia, które bezpośrednio mię poprzedziło, a miałbym rozumieć zamiary i sposoby widzenia mistrzów dalekich i w czasie i przestrzeni? Czerpmy formy z przyrody, a dusze z duszy naszej. Nieinaczej postępowali starożytni. Wyrazili samych siebie; wyrazmyż siebie i my. Korzystajmy jednak z doświadczenia. *Leonardo da Vinci.*

I.

Czy to nie jest dziwne? I czy to pytanie nie nasuwało się nam przy najrozmaitszych sposobnościach? W czasach dawnych mało, albo prawie nic nie mówiono o sztuce i pięknie, a mimo to każdy prawie twór ręki ludzkiej był piękny i artystyczny do tego stopnia, że dzisiaj gromadzimy je z największym szacunkiem po muzeach! Obecnie natomiast tak wiele i tak uczenie rozprawia się o sztuce, o cechach i właściwościach piękna, o jego potrzebie i znaczeniu, a mimo to coraz mniej tego piękna prawdziwego w życiu codziennym, coraz trudniej do niego dotrzeć. Istnieją wprawdzie specjalne szkoły niższe i wyższe, których zadaniem uczenie piękna i krzewienie go wśród najszerszych warstw społecznych, a mimo to coraz potężniejsza fala brzydoty zalewa nasze życie! Czy to nie paradoks? a może igraszka jakiegoś złego i złośliwego przypadku?

Takby się mogło zdawać, ale głębsze zbadanie tego zjawiska musi sprowadzić poważne modyfikacje w tym poglądzie. Jeżeli nieco bliżej wejrzymy w istotę zarysowanego zagadnienia, wówczas nietrudno będzie można się przekonać, że w uderzającej na pierwsze wejrzenie sprzeczności tkwi niewątpliwie prawda. Na to nie trzeba być specjalistą, by spostrzec, że ogromna większość twórców ręki ludzkiej czasów dawniejszych jest piękna, a wprost przytłaczająca większość współczesnych jest daleka, bardzo daleka od tego, co nazywamy pięknem. Dawniej, gdzie spojrzeć, było piękno, tak, jak dzisiaj brzydota. Piękne daw-

niej było miasto, ulica, dom; piękny był każdy najdrobniejszy przedmiot codziennego użytku; dzisiaj to piękno gdzieś się zatraciło, zagubiło, zniknęło. Dlatego dzisiejsze życie podzieliło się siłą faktów na dwie dziedziny: codzienną, pełną szarej, codziennej brzydoty, i na odświętną, piękną, ukrytą po muzeach, galeriach, kościołach, pałacach i zamkach.

Dawniej tego zjawiska nie było: nie trzeba było muzeów, ponieważ można było rzeczy piękne widywać na każdym kroku, na ulicy, w kościele, w pracowni rzemieślniczej, w domu mieszczkańskim, w zamku rycerza i pałacu władcy. Piękno nie było przywilejem żadnej warstwy społecznej: ono było naturalnym udziałem każdego człowieka. Jakżeż inaczej, i o ileż niekorzystniej, ukształtowały się pod tym względem stosunki w czasach najnowszych! Sztuka, piękno i życie codzienne wzięły ze sobą rozbrat, a sztuka, wygnana z życia codziennego, musiała szukać przytułku gdzieś zdala od niego.

I z biegiem czasu wytworzyło się wśród współczesnych przeświadczenie, że w życiu codziennym niema miejsca na piękno; tam, co najwyżej, zmieści się rzecz praktyczna i użyteczna, a ta nie może być piękna. Piękno zatem — to coś niecodziennego, coś niezwykłego, co tylko może stać się udziałem wybrańców losu, oderwanych od tego, co praktyczne lub użyteczne. Rzeczy i przedmioty użyteczne wytwarza maszyna i fabryka; piękne — artysta; jedne są na codzień, drugie od święta; piękne są zazwyczaj udziałem ludzi bogatych, inne — ubogich. To mniemanie ucieierało się z dnia na dzień coraz bardziej, stając się z biegiem czasu czemś, rozumiejącem się samo przez się, gdy tymczasem było to coś zupełnie nienaturalnego. Nie dziw więc, że ludzie z tym faktem się oswoili, uznając go za konieczność czasu i za naturalne następstwo uprzemysłowienia, zwiększenia i potężnienia produkcji.

Z powyższych faktów wynikają trzy możliwości: albo wogóle nie można się nauczyć pięknego tworzenia, albo nauka w tej mierze jest zbędna, bo zdolność pięknego tworzenia jest cechą wrodzoną, a nie nabytą, albo wreszcie współczesna nauka w tej mierze idzie zmiernie drogami, posługuje się niewłaściwymi metodami. Jeżeli dawniejszy mistrz, jakiegokolwiek sztuki, nie posiadał tyle wiedzy, co współczesny, a mimo to tworzył dobrze i pięknie, to widocznie ta wiedza raczej szkodzi, niż pomaga pięknemu tworzeniu. A może ona wręcz przyczynia się do zabicia tych zdolności twórczych, jakie losy niejednemu użyczają?

Na szczęście, nie jest tak dobrze, jak w pierwszym, ani tak źle, jak w drugim wypadku. Bez wiedzy o sztuce i bez posiadania wszystkich jej tajemnic, niewiele pomogą największe zdolności i najszlachetniejsze zamiary i chęci; z drugiej strony — największa nawet wiedza bez tego nieokreślonego „czegoś”, co nazywa się talentem twórczym, również nie da dodatniego, pełnego wyniku. Czyli, że artysta, mistrz swej sztuki, musi umieć tworzyć świadomie, znać wszelkie arkana i tajemnice swej sztuki, a nadto posiadać w sobie takie dyspozycje i zdolności, których nabyć nie można. Ćwiczenia i nauka może je conajwyżej rozwinąć, w niejednym wypadku uświadomić lub spotęgować; ale nigdy, w żadnym wypadku, nie zdoła ich stworzyć, tchnąć w umysł jałowy. Dlatego we wszystkich czasach ludzie, tworzący rzeczy piękne, musieli posiadać zarówno zdolności, jak i wiedzę gruntowną o tem, co

tworzyli. Jeżeli tak bywało zawsze i wszędzie, to trudno przypuścić, iż nagle zdolności i wiedzy zostali pozbawieni artyści współcześni. Tylko współcześni!

Wobec oczywistej absurdalności tego twierdzenia, należy przyjąć za pewnik, że współcześni twórcy posiadają zarówno wiedzę w swej specjalności, jak niemniej i zdolności twórcze w tej dziedzinie. A jednak, w bardzo wielu wypadkach, tworzą niezaprzeczenie gorzej, niż ich towarzysze po fachu z czasów minionych.

W czym tkwi przyczyna?

Stanisław Machniewicz.



TEATR ATENEUM.

„Chory z urojenia“ — komedia Moljera w 3 aktach z epilogiem, w przekładzie Boya-Żeleńskiego.

Zdaje się, że po „Turandocie“, „Chory z urojenia“ będzie drugą złotą żyłą, na jaką dyrekcja Ateneum natrafiła w swych poszukiwaniach pionierskich. Klasyczny humor Moljera, operujący najprymitywniejszemi, a zatem najdostępniejszymi dla szerokich mas, środkami, nie się nie zestarzał i tak samo jest źródłem świeżego, beztroskiego śmiechu, jak przed paruset laty.

Czas stępił tylko ostrze satyry i zmienił nieco jej kierunek: dziś godzi ona już nie w lekarzy, ale w hipochondryków. Słowa i sceny, które za czasów Moljera były obrazą stanu lekarskiego, dziś, kiedy sztuka leczenia stała się nauką, są niewinną igraszką z szarlatanów. I dlatego „Chory z urojenia“ może być spokojnie grany w najbliższym sąsiedztwie „Kasy Chorych“; nikt tego nie bierze za złośliwą aluzję, żadnemu lekarzowi, zaczynając od Boya, nie poruszy to żółci.

Boy ubrał „Chorego z urojenia“ w dobrze skrojoną sukienkę polską. W przekładzie żyje Moljer, a nie czuć francuszczyzny. Przystojenie komicznych nazwisk doktorów: Czyściel i Biegunka, jest zgodne zarówno z intencją autora, jak z duchem języka. Kuchenna łacina w epilogu, ujęta w stylu „Carmen macaronicum“ Kochanowskiego, ma właściwe żakowskie zacięcie.

I reżyserja i aktorzy naogół szczęśliwie uchwycili styl moljerowski. Nie kuszono się o nadzwyczajności, ale w miarę sił i środków dano to, co teatr popularny w swoim zakresie dać może najlepszego. Niegdyś na scenie „Rozmaitości“ tytułową rolę grał Frenkiel. Było to arcydzieło moljerowskiej groteski. Bogusławski stuszczał jaskrawości, był raczej nowoczesnym cherlakiem, niż tegim drabem, chorym na przesył wygody i egoizmu. Z pozostałych wykonawców najwięcej inwencji i humoru wykazała Perzanowska w roli pokojówki Antosi.

Epilog, organicznie nie zrośnięty z całością, budzi poważne zastrzeżenia. Parodja egzaminu doktorskiego, odbywającego się z religijnem niemal namaszczeniem, z punktu widzenia stylowej groteski i gwary makaronicznej może w specjalny sposób łechtać podniebienie widza inteligentnego i oczy-

tanego. W sferach robotniczych, dla których jest przeznaczony teatr „Ateneum“, może stać się źródłem zupełnie niepożądanego pogardy dla dyplomu naukowego, który zdobywa się przecież latami pracy, a nie jednorazowym figlem. Przypomnijmy sobie, że wśród ludu wiejskiego znachor jeszcze dziś chętniej bywa widziany od lekarza i nie bądźmy zbyt pochopni w przecenianiu intelektualnego poziomu naszego robotnika. S. P. O.

Ś. P. WŁADYSŁAW ORKAN (SMRECZYŃSKI)

W dn. 14 maja zmarł nagle w Krakowie chlubnie znany pisarz i poeta podhalański, laureat tegorocznej nagrody literackiej miasta Warszawy, Władysław Orkan. Urodzony w chacie góralskiej, wszystkie siły swej twórczości skupił na małym terytorjalnie, ale bogatym pod względem wartości życiowych i artystycznych odcinku życia naszego ludu. Był jednym z pierwszych u nas pisarzy regionalnych, całkowicie wrosłych w rodzime podłoże, z którego czerpał soki na użytek zbiorowości, na chwałę całej literatury polskiej.

Stosunek Orkana do psychiki ludu był zgoła odmienny od stosunku takich pisarzy, jak Sienkiewicz, Prus, Dygasiński, Sewer, Wyspiański, Rydel, Reymont, czy wreszcie Tetmajer. Wszyscy oni podchodzili do chłopca od zewnątrz, po czynach jego i odruchach sądząc o pobudkach wewnętrznych, po liściach i korze wnioskując o istocie rdzenia. Chłop był zawsze dla nich tematem nieco egzotycznym, albo dekoracyjnym, żywiołową zagadką, której nie silili się rozwiązać, ale którą starali się zobrazować, skomplikować, lub przeciąć lapidarnem określeniem: „Chłop potęgą jest, i basta!“

Orkan pokusił się o odtworzenie tej potęgi drogami nieco odmiennymi od swoich poprzedników. Poszedł po liniij największego oporu; obrał kierunek dotąd niewyzyskany: od środka do obwodu. Z wnętrza duszy chłopskiej postanowił wydobyć jej prawdziwy głos, z jej dna spojrzął na świat oczami dziecka natury, zmęczonemi odwieczną walką o byt. Chłop Orkana jest biegunowo odległy od swych sielankowych prototypów w literaturze, jest nawskroś dramatyczny. Poprzez nędzę, niedolę, poniewierkę wyrabuje sobie własne prawo do życia. Prometeusz w łachmanach, codziem nadludzkiem wysiłkiem zdobywający ogień z nieba, choćby to miało być tylko łuczywo w kurnej chacie, czy iskierka, zapalająca garstkę wiórów.

Pod tym kątem widziana postać chłopca urasta do rozmiarów bohaterów i legendarnych. Z całą świadomością Orkan sięgnął do głębi mitologii góralskiej, szukając w niej źródeł tajemnych związków między człowiekiem a naturą, między duszą ludzką a żywiołem — związków, których śladem jest magja ludowa, żywa po dziś dzień w obyczajach, obrządkach i zabobonach. Chłop Orkana nie jest „osobą“ literacką, jest chłopem prawdziwym, rzetelnym i wiekuistym.

Słusznie zauważył jeden z naszych krytyków, że w walkach, jakie toczą bohaterowie Orkana, można odnaleźć jego samego. Twórczość Orkana była ustawicznem mocowaniem się z bryłą materiału, walką o byt swojej idei w wyrazie artystycznym, mozolnem przewyciężaniem formy, niezawsze posłusznej rozmachowi twórcy. Pionierskiej zasługi Orkana nie wolno mierzyć stosunkowo słabym rezonansom wśród szerokich warstw czytelnicy. Torował nowe drogi w mozolnym trudzie, który nie mógł być przynętą dla poszukiwaczy płytkich wzruszeń i tanich efektów, ale pozostanie w literaturze, jako świadectwo szlachetnego wysiłku w walce o swoją własną prawdę artystyczną. S. P. O.

Kobieta w świecie i w domu

DLA DZIECKA — PRZYSZŁOŚCI NARODU.

Łącznie z wszystkimi państwami Zachodu urządza i Polski Komitet Opieki nad dzieckiem „Tydzień Dziecka“. W Polsce odbędzie się on od 26 do 31 maja włącznie.

Zadaniem tej propagandy jest jaknajszersze spopularyzowanie: Deklaracji Praw Dziecka, ogłoszonej w r. 1925 przez Union Internationale de Secours aux Enfants, stowarzyszenie, którego Komitet polski jest członkiem; dalej wciągnięcie samych dzieci do zorganizowania ich własnego tygodnia. W tym celu zorganizowane być mają w szkołach komitety uczniowskie i dziecięce „Tygodnia“.

Znakiem „Tygodnia“ będą pochody dzieci, ubranych w specjalne odznaki i niosących transparenty z hasłami deklaracji genewskiej. Pochody te będą wszędzie połączone z zabawami i różnorodnymi przyjemnościami dla dzieci.

Honorową protektorką polskiego Komitetu Opieki nad Dzieckiem jest pani Prezydentowa Michalina Mościcka; honorowy protektorat nad „Tygodniem Dziecka“ objęła p. Marszałkowska Aleksandra Piłsudska.

KOBIETY W OBRONIE PRZECIWGAZOWEJ.

Odbywający się obecnie w całej Polsce „Tydzień Lotniczy“ jest niesłychanie doniosłą akcją propagandową, idącą w dwóch kierunkach: rozwoju polskiego lotnictwa i uświadczenia ludności cywilnej o obronie przeciwgazowej.

Rozwój komunikacji lotniczej, tej tak ważnej gałęzi bogactwa i ekspansji krajowej, powinien być otaczany specjalną opieką całego społeczeństwa. Szybkość i wygoda podróży i poczty lotniczej potrzebne są już dziś, a wkrótce staną się

niezbędne każdemu obywatelowi. Dla należytego zaś rozwoju naszych linii komunikacyjnych, dla powstania rodzimego przemysłu, fabrykacji samolotów i silników krajowych, dla propagandy lotnictwa ogólnej i wśród młodzieży — potrzebne są badania naukowe i wszelkie pomoce.

Akcję tę prowadzi Liga Obrony Powietrznej i Przeciwgazowej, tworząc szkoły, warsztaty, instytuty badawcze, wspomagając kluby lotnicze i t. p. Instytucja ta powinna więc być podtrzymywana przez całe społeczeństwo, zwłaszcza, że składka członkowska jest minimalna (50 gr. miesięcznie). Nie chodzi L. O. P. P. o składki wysokie, ale o to, aby każdy został członkiem tej instytucji. Nie jest to trudne, a jak ogromne uczyniłoby to sumy, które pozwoliłyby Lidze na wszystkie potrzebne udoskonalenia prowadzonych przez nią instytucyj i tworzenie nowych.

Nietylko jednak lotnictwo jest zadaniem L. O. P. P., istnieje drugie, ważniejsze: szkolenie ludności cywilnej w obronie przeciwgazowej. I tu akcja L. O. P. P. zwraca się wydatnie w stronę kobiet. W licznych szkołach żeńskich, średnich i wyższych, organizowane są stale dla uczennic pokazy obrony. Nikt nie pragnie i nie prorokuje wojny, ale na jej wypadek wszystkie narody muszą być gotowe. *Musimy umieć*, a umieć muszą przede wszystkim kobiety, w ewentualnej bowiem obronie ludności cywilnej, one grałyby najważniejszą rolę. To też każda kobieta winna interesować się akcją L. O. P. P. i popierać ją w interesie społeczeństwa i swych najbliższych. Tydzień lotniczy obfituje w ciekawe momenty, pokazy lotnicze, loty pasażerskie, pokazy gazowe, jak próbne zadymiania gazami i t. p.

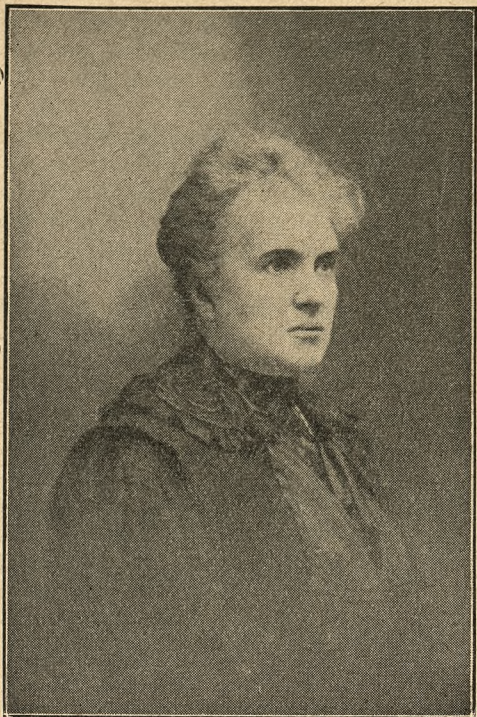
Czas ten powinien przypomnieć nam wielką wagę tych spraw i obowiązek każdej uświadomionej obywatelki zostania członkinią L. O. P. P. i jednania tej instytucji członków ze swego otoczenia.

ś. p. JÓZEFA KLAWEROWA.

Wnuczka generała rewolucji listopadowej i córka powstańca z 1863 r., ś. p. Józefa z Milbergów Klawerowa była gorącą patriotką i poświęciła całe życie służbie obywatelskiej.



Otwarcie sezonu wioślarskiego. Wioślarki w pochodzie na przystań.



ś. p. Zofja Klawerowa.

W najcięższych dla Polski czasach rozpoczęła pracę oświatową, prowadząc tajne komplety historii i literatury polskiej. Z chwilą pierwszej możliwości jawnej pracy, zorganizowała szereg kursów dla dorosłych w różnych miejscowościach kraju, a w Warszawie oddała na lokal kursów własne mieszkanie. Prócz tego roztoczyła wraz z mężem gorliwą opiekę nad młodzieżą uniwersytecką, zmuszoną, wskutek strajku wyższych uczelni, studjować zagranicą.

Umiłowanej idei poświęcała Zmarła cały swój czas, gorące serce i niespożyta energia. Obok pracy oświatowej, zajmowała się gorliwie zagadnieniami społecznymi i kobiecymi, będąc jedną z najczynniejszych organizatorek i członkiń Stow. Ziemianek, oraz przewodniczącą Warszawskiego Koła tego stowarzyszenia.

Z chwilą wybuchu wojny, ś. p. Józefa Klawerowa podwoiła swą działalność, tworząc przy Komitecie Obywatelskim Komisję Pracy Kobiet, zakładając żłobki, domy zdrowia, internaty dla dzieci, szkoły rzemiosł, warsztaty dla młodzieży, dopomagając uchodźcom i zrujnowanej przez wojnę inteligencji.

Nie ustawała ani na chwilę w swej działalności w odrodzonej ojczyźnie. W Komisji Pracy Kobiet, przemienionej w Koło Pracy Kobiet, była ś. p. Klawerowa, jako przewodnicząca, zawsze na posterunku, miła, pogodna, dzielna, otoczona ogólnym szacunkiem i miłością wszystkich, którzy z nią współdziałali. Koło rozwinęło intensywną pracę, utrzymując szereg instytucji oświatowych i dobroczynnych. Było ono jednak tylko jedną z gałęzi pracy zmarłej działaczki. Ś. p. Klawerowa brała jednocześnie udział w Narodowej Organizacji Kobiet, jako jedna z założycielek i członkini rady naczelnej, w katolickim Związku Kobiet i w zarządzie Rady Narodowej Polek. Nadto w r. 1925 zainicjowała między-stowarzyszeniowy komitet pomocy dla najbardziej potrzebujących, tworząc zeń centralę filantropijną 9-ciu stowarzyszeń kobiecych. Komitet ten utrzymywał przez dłuższy czas 4 kuchnie, wydające do 4 tysięcy obiadów dziennie, oraz tanią restaurację i kawiarnię.

Jesień życia nie osłabiła energii Zmarłej; otoczona powszechnym szacunkiem, odznaczona orderem Polski Odrodzonej, ś. p. Klawerowa nie ustawała w pracy aż do chwili, w której nagły zgon zabrał ją, osierocając rodzinę i budząc szczerzy żal w społeczeństwie.

Cześć Jej pamięci.

ZGON STANISŁAWA POSNERA.

Odszedł z tego świata wybitny działacz i polityk, a zarazem gorący rzecznik sprawy kobiecej, obrońca najstraszniej pokrzywdzonych w współczesnym ustroju społecznym kobiet, ofiar handlu żywym towarem i gorliwy działacz w sprawie ochrony macierzyństwa, wicemarszałek Senatu, Stanisław Posner.

Stanisław Posner wyniósł z tradycji rodzinnych ukochanie pracy społecznej i obywatelskiej. Już we wczesnej młodości podlegał prześladowaniu rządu rosyjskiego, zmuszony przerwać studia na uniwersytecie warszawskim. Po powrocie z Niemiec, pracował parę lat w kraju, organizując oświatę robotniczą i redagując pismo „Ogniwo“, do r. 1905, w którym poraz drugi zmuszony wyjechać zagranicę, powrócił dopiero do niepodległej Polski. Tu poświęcił się pracy politycznej, zajmując wysokie stanowisko wicemarszałka Senatu.

Nie zaniedbywał jednak w dalszym ciągu działalności oświatowej i literackiej, wygłaszając stale liczne odczyty, drukując artykuły i obszernie prace: o Lelewelu, Strugu i Żeromskim. Gorąco występował też zmarły w sprawach walki z handlem żywym towarem, w memorjach i organizacjach w Lidze Narodów. Był jednym z najlepszych znawców ustawodawstwa ochrony macierzyństwa i jednym z współtwórców tej ustawy w Polsce.

Zmarły darzył serdeczną sympatją „Bluszc“, któremu w r. 1928 udzielił specjalnego, obszernego wywiadu w sprawie ochrony macierzyństwa w Polsce i działalności polskich inspektorów pracy.

KOBIETY NA INSTYTUT RADOWY.

Oddział Związku Pracy Obywatelskiej Kobiet w Drohobyczu przesłał komitetowi Budowy Instytutu Radowego im. M. Skłodowskiej-Curie 1000 zł. 58 gr., jako dochód z tygodniowej zbiórki, przez Oddział przeprowadzonej.

Oddział w Drohobyczu staje się w ten sposób członkiem-założycielem Instytutu.

POŚWIĘCENIE SZKOŁY PIELEŃNIAREK.

W ubiegłym tygodniu odbyło się uroczyste poświęcenie Warszawskiej Szkoły pielęgniarek, mieszczącej się w gmachu własnym, przy ul. Koszykowej 78. Podczas ceremonii obecna była p. Prezydentowa Mościcka oraz przedstawiciele rządu i licznych organizacji społecznych.

Do otwarcia nowej uczelni przyczyniła się wydatnie milionerka amerykańska, Miss Hugues, oraz władze państwowe; kierowniczką jest znana filantropka i znakomita higienistka, p. Zofja Szlenkerówna. Nowo zbudowany gmach, wzniesiony z funduszy Rockfellera, oraz z subsydjów rządowych i miejskich, posiada wszystkie najnowsze urządzenia i pomoce naukowe.

W Polsce istnieje dotkliwy brak dobrych pielęgniarek; potrzeba ich bardzo dużo dla racjonalnej obsługi szpitali, klinik prywatnych i chorych, leczących się w domu, a szkół jest dotychczas niewiele. Niewiele też kobiet poświęca się temu zawodowi, który należy gorąco polecić ich uwadze. Praca pielęgniarki jest niezmiernie dobroczynna i potrzebna, a w miarę wzrostu kadr istotnie wykwalifikowanych, zyskiwać będzie coraz większe uznanie i popłatność.

JAK SIĘ UCZYŁY AMERYKANKI W POLSCE

(Dokończenie)

Dostawałam z Wiednia listy i dyspozycje, które wskazywały, jak konsekwentnie i energicznie przyjaciółka moja zabiera się do zrealizowania swoich planów.

Rysowałam winjety, drukowałam przystany tekst prospektów, opracowywałam programy. Lecz robiłam wszystko jakoś zupełnie teoretycznie, nie wyobrażając sobie, by mogło to mieć kiedyś realne zastosowanie. Dopiero, gdy w marcu dostałam wiadomość, że mamy 16 konkretnych zgłoszeń — doznałam wrażenia, że stanęłam nagle przed czymś zupełnie nieoczekiwanym i niespodzianym, co zaskoczyło mnie nieprzygotowaną.

Zabrałam się gorączkowo do roboty.

Zdawałam sobie doskonale sprawę z odpowiedzialności, jaka na mnie ciąży, rozumiałam, jakie znaczenie w przyszłości mogą mieć takie kursy, jeśli staną na właściwym poziomie i spełnią wszystkie swoje zadania.

Oprócz samej pracy rysunkowej, która była głównym celem naszych kursów, trzeba było pomyśleć, by zebrać dostateczny materiał i dać jaknajpełniejszy obraz kultury polskiej.

Nie znając sama dostatecznie angielskiego języka, musiałam wystarać się o odpowiedniego prelegenta.

Panna Katarzyna Małecka, znana działaczka, pianistka i korespondentka pism amerykańskich, zgodziła się przyjechać na 10 dni, by wygłosić szereg odczytów. Podzieliłyśmy się pracą w przygotowaniu materiału do tych prelekcji, które obejmowały: historję Polski, literaturę, malarstwo, sztukę ludową,



Stary gazda — jeden z naszych modeli.



„Jedynak“ kursów — nauczyciel z Kalifornji.

historję muzyki, bajki polskie, zwyczaje ludowe, historję Zakopanego i znaczenie jego w rozwoju sztuki polskiej, wreszcie muzykę podhalańską, opracowaną przez p. St. Mierczyńskiego. Ten cykl wzbogacony został niezmiernie interesującym odczytem prof. Romera, który, poznawszy nasze kursistki w Zakopanem, odczyt ten łaskawie zaofiarował.

Przy gromadzeniu odpowiednich materiałów ogromną pomoc znalazłam w naszych instytucjach.

Wydział propagandy przy M. S. Z. dał mi całą biblioteczkę tłumaczeń literatury polskiej na angielski; prof. M. Treter — dyrektor Tow. Szerzenia Sztuki Polskiej wśród obcych — wypożyczył świetnie skompletowaną całość naszych wydawnictw ilustrowanych, dających obraz naszej sztuki plastycznej, a p. Cz. Młodzianowski — dyrektor Tow. Pop. Przem. Lud. — pozwolił zabrać kolekcję wyrobów ludowych ze wszystkich działów i wszystkich dzielnic Polski.

W maju zjechałyśmy się w Zakopanem, by znaleźć odpowiednie miejsce na naszą szkołę. Wybrałyśmy w Jaszczurówce pensjonat „Jarczyśko“, ślicznie położony opodal cieniściego lasu i bujnej łąki, a uprzejma właścicielka, p. Terlikiewiczowa, obiecała dostosować się do gustu i wymagań amerykanek.

6 lipca ogromny autobus z Krakowa przywiózł wycieczkę amerykańską do Jaszczurówki.

Wszystkie niepokoje, tysiączne wątpliwości ustępowały powoli, gdyśmy weszły w uregulowane życie naszej pracy codziennej. Moja współtowarzyszka była tak dzielną, przewidującą i energiczną organizatorką, że wszystkie nasze plany i zamierzenia urzeczywistniały się bez żadnych tarć i trudności. Uczennice nasze (był i jeden uczeń, nauczyciel szkoły w San Jose w Kalifornji) pracowały dużo i z takim zapałem i wytrwałością, że nie można ich było oderwać od roboty. Nie przerywały pracy nawet wieczorami, które były poświęcone muzyce. Często mieliśmy duety skrzypcowe, odtwarzające melodie polskie, a po przyjeździe p. Małeckiej rozpoczęły się wieczory muzyki Chopinowskiej, która zachwycała naszych gości.

Książki były w ciągłym czytaniu; historia Polski, którą poznały z wykładów p. Małeckiej i książek Dybrowskiego, budziła takie zainteresowanie, jak „najciekawszy romans“; reprodukcje i wydawnictwa artystyczne umożliwiły orjentowanie się w różnorodnych kierunkach sztuki polskiej i zrozumienie, co wniosła ona nowego i świeżego do sztuki europejskiej. Ulubionymi malarzami stali się Stryjeńska i Skoczy-

POLAND'S CONTRIBUTION TO ART STUDENTS



A SUMMER SCHOOL ZAKOPANE POLAND

OFFERING

COURSES IN DESIGN AND SKETCHING

Okładka programu kursów dla amerykanek.

las; amerykanki nabyły wiele wydawnictw, poświęconych pracom tych artystów.

Specjalne zainteresowanie i zachwyt budziła sztuka ludowa, stroje ludowe, zwyczaj ludowe. Uczennice nasze odczuły całe piękno sztuki podhalańskiej, zgromadzonej w Muzeum Tatrzańskim i w tamtejszej bibliotece, które uprzejmość p. prof. Axentowicza i p. dyrektora Zborowskiego pozwoliła im gruntnie przestudjować. Również okazy sztuki ludowej, zabawkarstwa, ceramiki, kilimkarstwa, zgromadzone w naszej pracowni, znalazły właściwe zrozumienie i odczucie; sprowadzałam na ich życzenie całe partje tych wyrobów do nabycia.

Niesłychany entuzjazm wywołał wieczór góralski, zorganizowany przy pomocy p. J. Pawlikowskiego i p. J. Mierczyńskiej u naszych przyjaciół gazdów.

Na skrzypcach grał Obrochta z synem i godnymi ich towarzyszami, najlepsi tancerze zbójnickiego i drobnego, wdzięczne tancerki, panny Obrochcianki, i inne w swych barwnych strojach — dali całość piękną i skończoną w swej egzotycznej i jedynej oryginalności. Pod koniec, z właściwą góralską galanterją, zapraszali zachwycone cudzoziemki do „polki”, która, pomimo wszelkich różnic, dzielących tancerzy od tancerki, szła bardzo składnie.

Gdyśmy przy dźwiękach muzyki góralskiej, na przelaj przez łąki, krzaki i lasy wracali ponocą do pensjonatu, słyszałam zgodny chór zachwytu, że wieczoru tego nie zapomną przez całe życie.

Równem powodzeniem cieszyły się wycieczki, które z niesłychaną uprzejmością starał się nam ułatwić p. komisarz Piątkowski i dyr. Spółki Samochodowej p. Urban. Doliny Kościeliska i Strążyska, Morskie Oko, Zdziar, na czeskiej stronie, a szczególnie wycieczka do Pienin ze zwiedzeniem starego kościołka w Dembnie, z polichromją z XIII-ego wieku, oraz 4-ro godzinna jazda łódkami po Dunajcu — pokazały amerykankom piękno polskiego krajobrazu, o którym nie miały pojęcia.

Z żalem myśleliśmy wszyscy o wyjeździe.

Dnia 10 sierpnia w cudny, słoneczny dzień, malownicza droga autobusem z Zakopanego do Krakowa była pięknym zakończeniem wrażeń letnich.

W powrotnej drodze zwiedziłyśmy jeszcze Kraków, Warszawę, Łowicz w niedzielę z jego bajecznie barwnym tłumem w kościele, i wreszcie wystawę w Poznaniu, która zaimponowała naszym gościom. Rozstawałyśmy się na dworcu poznańskim.

„Wywozimy z sobą piękne myśli i wspomnienia o Polsce, które rozniesiemy po całej Ameryce” — to były ich ostatnie słowa z okien odjeżdżającego pociągu.

Marja Wertén.

GRY W PIŁKĘ

W sporcie używa się najrozmaitszych piłek, wielkości od kilku do kilkudziesięciu cm.

Są one wykonane z gumy, bądź też obszyte skórą, wypełnione włosiem, albo innym materiałem, celem powiększenia wagi piłki.

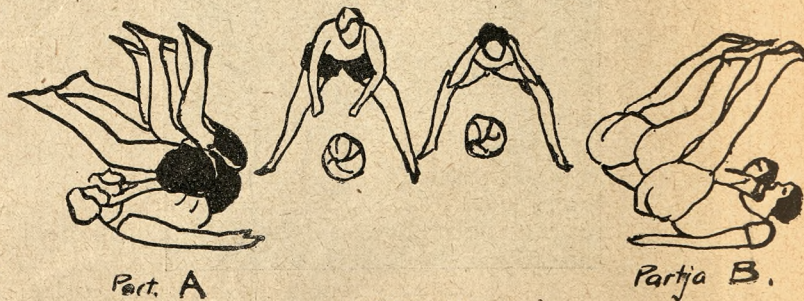
W zależności od gry, względnie ćwiczeń sportowych, używa się różnych gatunków piłek.

W krótkości scharakteryzuję kilka zasadniczych gier w piłkę, zaczynając od piłki „lekarskiej”.

Zasadniczo gra w piłkę lekarską jest najprostszym rodzajem ćwiczeń, przyczem należy jeszcze zaznaczyć, że nie wymaga specjalnego boiska — wystarczy w zupełności niewielka, zwyczajna murawa.

Piłka lekarska jest skórzana, duża, o średnicy 35 cm., wagi — dla kobiet — 2 do 3 kg. (piłka dla mężczyzn waży 3—4 kg.); posiada ona przede wszystkim tę zaletę, że oprócz ruchu na świeżym powietrzu, daje możliwość wyrabiania siły mięśniowej, zwinności i umożliwia łatwą gimnastykę, dając dużo przyjemności i zadowolenia.

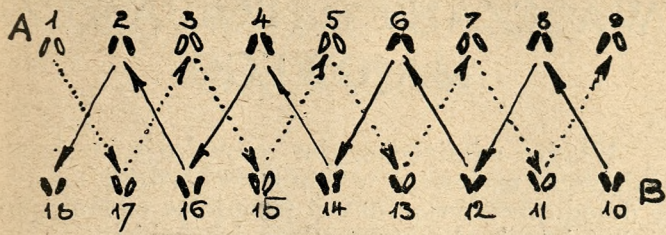
Ćwiczenia piłką lekarską rozpoczyna się od najprostszych rzutów, w dwie lub kilka osób, ustawionych w pewnej odległości naprzeciw siebie lub w kole.



Part. A

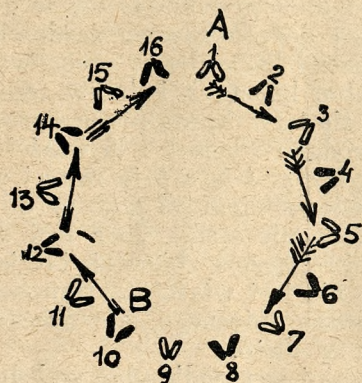
Huśtawka

Partja B.



Wyscig pitek

Spos. B.



Wyscig pitek

Spos. A

Zaczynamy od rzutów piłki oburącz w górę z nad głowy; osoba następna stara się piłkę uchwycić i podaje w ten sam sposób dalej. Ćwiczenie to wzmacnia mięśnie rąk i daje nam pewność rzutu i chwytu. Rzuty te należy powtarzać, powiększając odległość między ćwiczącymi.

Następnym ćwiczeniem jest rzucanie piłki za siebie, z prawej strony, z lewej strony, między nogami, pod lewą i prawą nogę. Wszystkie te ćwiczenia należy przeprowadzać w pozycji stojącej, na palcach, siedzącej i leżącej.

Po wyćwiczeniu rzutów oburącz, ćwiczymy w ten sam sposób rzuty lewą i prawą ręką.

Ćwicząc wszystkie te rzuty, wyrabiamy równomiernie wszystkie mięśnie i ćwiczymy wszystkie stawy, unikając jednostronności, jak to ma miejsce przy niektórych grach.

Dotychczasowe ćwiczenia odbywały się z rozmachem. Należy następnie przeprowadzić ćwiczenia, których celem jest wyrobienie szybkości rozwijania siły mięśniowej (ruchy gwałtowne, z pewnym wysiłkiem). W tym celu wyrzucamy piłkę lekarską na wysokości piersi ruchem szybkim, przez gwałtowne wyprostowanie rąk.

Podam jeszcze kilka gier, które nadzwyczaj urozmaicają ćwiczenia.

1. *Wyscig pitek.*

W tym celu potrzebne są dwie piłki jednakowej wagi i rozmiarów.

Sposób a): Uczestnicy dzielą się na dwie partje, przyczem każda musi mieć liczbę uczestników pa-

rzystą. Wszyscy tworzą jedno koło i to tak, aby liczby nieparzyste należały do jednej partji, a parzyste do drugiej. Zaczyna A i B równocześnie, podając piłkę swemu partnerowi z prawej strony. W ten sposób obydwie piłki biegną wkoło — jedna pomiędzy 1, 3, 5, 7 i t. d., a druga pomiędzy 2, 4, 6 i t. d. Ta partja, której piłka dogoni piłkę partji przeciwnej, liczy sobie punkt. Przy 8-miu uczestnikach grę rozpoczynają równocześnie z partji A numer 1, z partji B Nr. 6. Grę należy prowadzić raz w lewą, raz w prawą stronę. Przy większej ilości uczestników grę rozpoczynają stojący naprzeciwko siebie z partji przeciwnych.

Sposób b): Gra ta sama, z tą różnicą, że partje zamiast koła tworzą dwurzęd i partnerzy stoją naprzemian z jednej i drugiej partji. Odległości między rzęдами mogą wynosić od 4—20 kroków. Zaznaczyć jednak należy, że gra przy większych odległościach jest mniej ciekawa, gdyż piłki wędrują zbyt wolno.

Wrazie, jeśli piłka upadnie na ziemię, podnosi ją ten partner, który spowodował upadek; może jednak dopiero wtedy podać piłkę dalej, kiedy ustawi się na swoim miejscu w rzędzie.

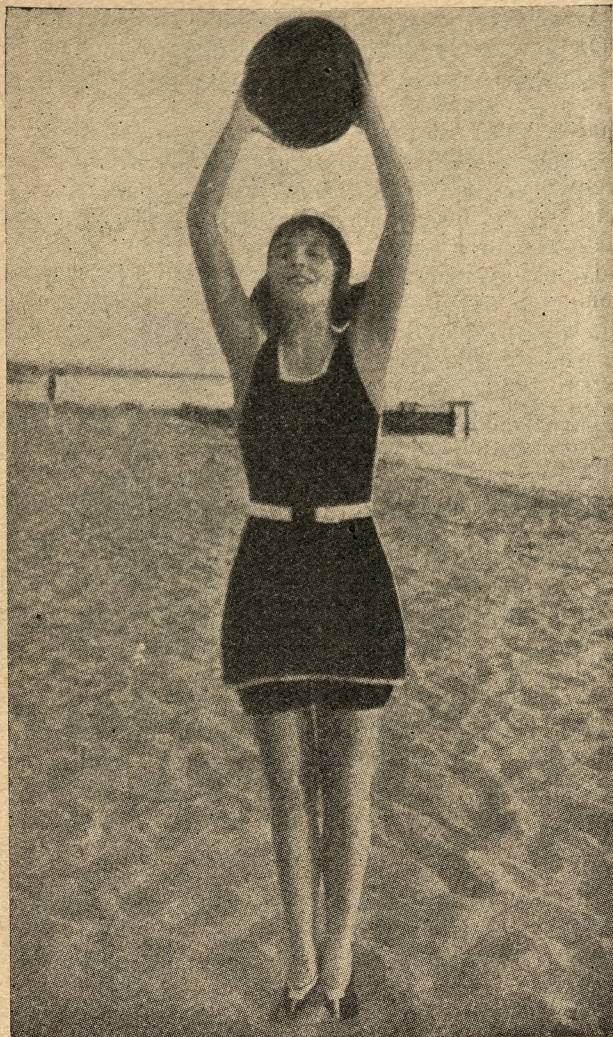
Huśtanka.

Gra w piłkę, która specjalnie ćwiczy mięśnie brzucha; działa też dodatnio na stan psychiczny, gdyż ze względu na wesołe momenty, wywołuje salwy śmiechu. Gra polega na tem, że dwie przeciwne partje kładą się w dwóch szeregach, naprzeciw siebie. Nogi mają zwrócone ku sobie w pewnej, nieznacznej tylko odległości.

Grę rozpoczynają równocześnie dwaj partnerzy z partji A i B w ten sposób, że dają hasło do podniesienia nóg w górę do pozycji pionowej. W tym



Rzut piłką



Pilka wyrzucona nad głową.

samym momencie rzucają piłkę, aby się toczyła na przeciwny koniec rzędu, przyczem ostatni partner ma ją nogami powstrzymać, szybko wstać i biec na drugi koniec, aby ją znowu potoczyć. Pierwszy natomiast, który grę rozpoczął, kładzie się natychmiast obok w szeregu, tak, że całe szeregi w ten sposób posuwają się w jednym kierunku. Za każdym razem dane hasło „nogi w górę!” powoduje podniesienie nóg, a hasło „nogi w dół!” — opuszczenie.

Zabawa ta, żywo prowadzona, daje doskonały trening mięśni brzucha i szybkości decyzji, przy równoczesnym wykonywaniu ćwiczenia przez całą partję. Wygrywa ta partja, która posunie się dalej od swojej przeciwniczki (wykona większą ilość rzutów piłką w tym samym czasie).

Oprócz wspomnianych tu, zaledwie dwóch zabaw, jest jeszcze cały szereg innych, urozmaicających w różny sposób ćwiczenia. Dla bardziej zaawansowanych natomiast jest jeszcze wiele ćwiczeń na przyrządach z piłką lekarską, które wymagają jednak bardzo dużej zręczności, a nawet i siły.

Jest to jedna z najprostszych gier, tembardziej zasługująca na uwzględnienie, że jest ona dostępna prawie dla wszystkich warstw i w każdym wieku, a jedną z niepoślednich jej zalet jest, że nie wymaga ani specjalnych boisk, ani też wielkich inwestycji.

M. K.

ZWALCZANIE CHRABĄSZCZA MAJOWEGO

Władze administracyjne zarządzają zwalczanie chrabąszcza majowego w tym roku bardziej, niż zwykle dotąd, przyznając nawet premje za oddanie pewnej ilości tych chrabąszczy, po ich zabiciu.

I całkiem słusznie!

Owad ten wyrządza bowiem, zwłaszcza w masowym wystąpieniu, kolosalne szkody w gospodarstwie rolnem, ogrodniczym i leśnem.

Przez 4 lata żyje jako larwa-pędrak w ziemi i żywi się korzonkami młodych roślin, powodując ich usychanie.

Po 4-ach latach przeobraża się w owada-chrabąszcza, opuszcza dotychczasowe środowisko w ziemi, wylatuje i niszczy liście drzew owocowych i leśnych, jak dębu, grabu, kasztana i drzew szpilkowych.

Zwalcza się tego owada przez strząśnianie z drzew w sadach, ogrodach i lasach. Najwłaściwsza pora ku temu jest między g. 4-tą a 9-tą rano i od 3—8 popołudniu, w czasie bowiem od godz. 9 do 3 pop. chrabąszcz z drzewa nie spada, lecz leci dalej.

Opadłe chrabąszcze zbiera się i daje się na karmę dla drobiu, co nie jest właściwe. Wprawdzie drób potrzebuje pokarmu mięsnego, ale dostaje go w tym okresie czasu za dużo.

Praktyczniej jest podkładać pod drzewa płachty lub worki, a po strząśnięciu z drzewa pozbierać owady do wiaderka lub innego odpowiedniego naczynia. Chrabąszcze należy zalać gorącą wodą, potem je rozestlać w słonecznym miejscu, a po wysuszeniu przynieść na strych i rozsypać w cienkich warstwach.

W okresie zimy, kiedy kury i kaczki nie mają naturalnego mięsnego pokarmu, podaje się im codziennie garść (lub więcej) chrabąszczy, rozartych z ziemniakami.

Jeśli się ma większe zapasy tych owadów, skarmia się nimi i trzodę chlewną, w podobny sposób, zamiast używania w tym celu kupnej, a drogiej mączki mięsnej lub rybiej.

Dobrze byłoby, gdyby pp. wójtowie i nauczyciele po wsiach, a również i pp. prezesi na zebraniach Kółek Rolniczych uświadamiali ludność wiejską i dzieci szkolne o potrzebie zwalczania tego szkodnika.

Pamiętać przytem należy, że niszczenie chrabąszczy, a także użytkowanie ich, jako karmy dla zwierząt domowych, jest również jednym ze środków podniesienia dochodowości gospodarstw rolnych.

J. Neyman.



ODŻYWIANIE W CIAŻY NA WIOSNĘ

U ludów pierwotnych, na niskim szczeblu kultury, kobiety odbywają porody bardzo łatwo. W narodach kulturalnych często zdarza się konieczność poświęcenia życia dziecka dla utrzymania przy życiu matki.

Przyczyną tego są odchylenia, jakim odżywianie nasze uległo w ciągu wieków, mianowicie: zarzucenie diety ludów pierwotnych. Nie znaczy to, aby należało zalecać przejście od produktów gotowanych do surowych; lecz sposób przyrządzania pokarmów bywa u nas często wadliwy, przez co tracimy niektóre cenne substancje; czasem znów, skutkiem zbyt długiego gotowania, tworzą się związki szkodliwe, lub wskutek niedogotowania pożywienie staje się mało strawne.

Ponieważ nasz przewód pokarmowy przyzwyczajony jest raczej do pokarmów gotowanych, niż do surowych, nie należy przeprowadzać zbyt radykalnych zmian. Niemniej jednak pewne pokarmy, a szczególnie te, które przyzwyczailiśmy się gotować niewłaściwie, należy podawać na surowo; tak np. kapustę (którą u nas gotuje się *za długo*, co wywołuje szkodliwe gazy) należy podawać na surowo, jako kwaszoną, albo na słodko, cienko poszatkowaną (nie parzoną), w sałatce z jarzyn.

Wszystkie owoce oraz niektóre zielone warzywa, jak groszek, szpinak, czasem również marchewkę można podawać na surowo w sałatce.

Pani dr. Stokham, lekarka amerykańska, opublikowała następujące doświadczenia z własnej praktyki:

1. Pewna pacjentka odbywała zawsze b. ciężkie porody, trwające 30—50 godzin, choć w okresie ciąży czuła się niezłe. W czwartym miesiącu jej czwartej ciąży wprowadziła do swego jadłospisu warzywa surowe, w postaci sałatek, i owoce po każdym jedzeniu. Zredukowała przytem ilość mięsa i cukru do minimum. Rezultat był doskonały, choć narazie podczas ciąży czuła się niezbyt dobrze. Dziecko urodziło się w 2 godziny w bólach normalnych.

2. Pacjentka R. przechodziła dwukrotną ciążę b. źle. Miała nudności, czasem wymioty, nogi spuchnięte, bóle głowy. W czasie trzeciej ciąży zastosowała dietę, złożoną jedynie z ryżu, kasz, owoców i mleka. Ciążę przeszła normalnie i poród był nietrudny.

W wypadkach, gdy kobieta przechodzi ciążę niepomyślnie, można więc zastosować dietę owocową z małym dodatkiem ryżu (ryż z obfitością jabłek), lub kasz (na mleku, z masłem, lub w postaci zup). Przeważać powinny w diecie kobiety ciężarnej wszelkie owoce, a więc jabłka, pomarańcze, śliwki, figi, daktyle, w lecie prócz tego młode warzywa. Nie należy jednak przesadzać w dawaniu surowizn, lecz naprzemian dawać potrawy surowe i gotowane.

Dieta taka może być również stosowana dla odświeżenia organizmu, np. podczas miesięcy letnich, kiedy owoce i warzywa są tanie. Stwierdzono w praktyce, że dieta taka, stosowana przez jakiś czas, może nie tylko dodatnio wpłynąć na rozwój organizmu dziecka, ale również poprawić zdrowie matki. Jeżeli matka ma jakieś zaburzenia w przemianie materji: zbytnią otyłość, chudość, artretyzm — dobrze jest zastosować na pewien czas powyższą dietę. Okres ciąży

jest próbą zdrowia matki. Trudniej go przebyć, gdy są jakieś niedomagania w funkcjonowaniu organizmu.

Szereg przepisów na dietę warzywno-owocową:

1. *Szpinak*: 1 kg. szpinaku, 40—50 gr. masła, 2 małe cebule, 30 gr. mąki, 6 łyżek mleka, trochę soku z cytryny. Szpinak przebrać, nie odrzucając nic prócz korzeni i zbyt grubych łodyg, lub bardzo podartych liści. Wypłókać i wymyć na durszlaku b. starannie, potem sparzyć i 1 raz zagotować w b. małej ilości wody z dodaniem mleka. Osolić. Osobno w rondelku zasmażyć w maśle cebulę drobno posiekaną, na jasno-żółty kolor, dodać mąkę, powoli sos ze szpinaku zagotować, dodać posiekany uprzednio szpinak, przetrzymać na ogniu 1 minutę i podać.

Gdy szpinak jest młody i ma delikatne liście, dobrze jest, po oplókaniu, przepuścić surowy szpinak przez maszynkę, połowę oddzielić i *na surowo* dodać po zaprawieniu i już, podgrzewając, *nie gotować*.

2. *Marchewka*. 4 szklanki marchewki, pokrajanej w cieniutkie, równe paseczki, masła 2 płaskie łyżki stołowe, mleka $\frac{3}{4}$ szklanki, mąki 2 płaskie łyżki stołowe, wody $1\frac{1}{4}$ szklanki, 2 szklanki marchewki sparzyć $\frac{3}{4}$ szklanki wody, pogotować 5 minut, osolić. Gdy jeszcze twarda, zrobić osobno zaprawkę: rozetrzeć masło z mąką na surowo, dodać powoli wodę, w której się marchew gotowała, pogotować 5 minut, mieszając. Wymieszać z marchewką i nie trzymać na ogniu dłużej, niż 3—5 minut. Podać z lekka twardą.

Nawet marchew stara może być jędrna i soczysta, gdy dodamy nieco mleka przy gotowaniu. A więc 2 szklanki marchwi trzeba sparzyć ćwierć do pół szklanką wody w płaskim rondelku, przetrzymać 5 minut na ogniu, uważając, aby się nie przypaliła, osolić (jeśli kto lubi marchew *b. miękką*, można ją przedtem utrzeć na tarce od warzyw). Dodać mleka. Osobno rozpuścić masło (1 łyżkę), dodać mąkę, dolewać powoli sos z marchwi, zagotowany na gęstą masę, włożyć marchew, wymieszać i nie trzymać na ogniu dłużej, niż 5 minut.

3. *Sałatka orzeźwiająca*. Pół szklanki cienko poszatkowanej kapusty z główki (nie parzyć! tylko obmyć przed szatkowaniem), pół szklanki pokrajanej w drobną kostkę ogórka kwaszonego, pół szklanki pokrajanej w cienie paseczki surowej marchwi, 1 szklanka pokrajanej w kostkę jabłka nieobranego (sparzyć i wytrzeć do sucha przed krajaniem), 1—3 łyżek utartej cebuli surowej (spróbować przedtem, czy słodka), trzy czwarte buraka ugotowanego lub trzy czwarte szklanki kartofli w kostkę.

Wcisnąć trochę soku z cytryny, posolić. Osobno uwiercić trochę majonezu, t. j. osoliwszy, ubić jedno żółtko, aż zgęstnieje, dodawać potrochu oliwy, potem cytryny, aż narosnie. Oblać sałatkę i ubrać zieloną pietruszką.

Marja Morzkowska.





JAJA NADZIEWANE

Na sześć osób ugotować na twardo dziesięć jaj, ostudzić w zimnej wodzie, przekrajać wzdłuż, na połówki, wraz z lupinami, bardzo ostrym nożem. Wyjąć białko i żółtko z lupinek, nie krusząc tych ostatnich. Usiekać drobno, wbić dwa jaja surowe, od których skorupki, równie ostrożnie przekrajane, dołączają do poprzednich. Dziesięć deka pieczarek, drobno pokrajanych, przesmażyć wraz z drobno usiekaną cebulą w pięciu deka masła; gdy nieco przestygną, dodać je do usiekanych jaj. Wsypać sporą garść usiekanego zielonego koperku lub szczypiorku, co kto woli, można nawet dodać obie zieleninki. Wsypać pół filiżanki tartej bułeczki, wlać tyleż słodkiego mleka lub rosolu, osolić do smaku, odrobinę popieprzyć, wymieszać wszystko doskonale.

Napełnić tem skorupki w taki sposób, aby miały kształt całego jajka. Powinno być 24 połówki. Można je podsmażyć na maśle, kładąc nadzieniem na patelnię, lub też ułożyć jedno obok drugiego na brytfannie (nadzieniem do góry) i zapiec je w piecyku pod blachą. Mogą służyć do obkładania jarzyny, zamiast pasztecików do zupy, lub też jako wyborna, samodzielna potrawa na kolację. Do nich można podać oddzielnie kartofle z wody i sos chrzanowy lub pomidorowy.

OZORKI CIEŁĘCE W GALARECIE

Ozorki cięte są zwykle sprzedawane z całem podgardlem. Dwa spore ozorki ugotować z włoszczyzną i korzeniami na bardzo miękko. Skórkę białą, która, dopóki ozorek gorący, łatwo odstaje, ściągnąć. Dać mięsu zastygnąć. Tymczasem smak wygotować do ilości trzech szklanek, precedzić, ostudzić, sklawować białkiem, rozbitem z łyżką octu, precedzić poraz drugi, zakolorować karmelem na jasno złocisty kolor. Ozorki pokrajać na cienkie plasterki, podgardle w kostkę. Przygotować dwa jaja, ugotowane na twardo i pokrajane na cząstki, marchewkę ze smaku, również ładnie pokrajaną, parę plasterków cytryny i kilka gałązek zielonej pietruszeczki. Wyłożyć tem wszystkim glinianą lub blaszaną foremkę. Na tem ułożyć kawałki ozorka, kładąc najładniejsze cząstki nazewnątrz, a drobniejsze i mniej ładne — w środek. Nakoniec zalać smakiem i wynieść na lód. Nazajutrz, przed podaniem wyrzucić na półmisek, ubrać wkoło zieloną salatką i podać oddzielnie chrzan z octem lub sos musztardowy. Tania i smaczna potrawa.

ZRAZIKI CIEŁĘCE ZAWIJANE

Z pół kilo sznyclowej cięliny bez kości ukrajać sześć równych zrazików i rozbić je jaknajcieniej. Przygotować tyleż plasterków wędzonej słoninki. Powinny być cienkie, jak papier do pakowania, i ważyć razem najwyżej dwadzieścia deka. Dwa-

dzieścia deka pieczarek usiekać jaknajdrobniej i przesmażyć w łyżce masła wraz z równie drobno usiekaną, dużą cebulą. Posypać temi pieczarkami zraziki, zwinąć każdy w rolkę, obwiązać nitką. Zrumienione ze wszystkich stron na maśle, złożyć do nelsonki. Na patelnię wlać filiżankę wody, zagotować, aby masło odstalo, polać tym sosikiem zrazy, przykryć pokrywą i dusić wolno pół godziny. Przed wydaniem włożyć parę łyżek śmietany i raz z nią zagotować. Solić zraziki dopiero po usmażeniu, aby mięso pozostało białe. Podawać z ryżem na sypko, włoskim makaronem, szpinakiem, brukselką i t. p. Nie zapomnieć zdjąć nici.

SŁEDZIE SMAŻONE, MARYNOWANE

Przygotować do tych śledzi jakąś specjalną salaterkę, lub inne naczynie, w którym je będzie można wprost na stół podawać. Doskonale do tego są większego rozmiaru terynki od sztrasburskich paszтетów. Śledzie dobre, lecz nieco twarde, wymoczyć, obrać z ości, łby i ogony odrzucić, a same śledzie pokrajać na kawałki rozmiaru średniej sardynki. Utarzać dobrze w mące i obsmażyć na oliwie, przewracając bardzo ostrożnie, aby się nie rozpadły. Układać w przygotowanym naczyniu, przekładając każdy rząd plasterkami cytryny bez skórki i pestek, korniszonami cieniuchno krajanymi, grzybkami marynowanymi, kaparkami, pieprzem i zielem w ziarnach, paru goździkami, paru listkami. Polać to obficie świeżą oliwą, tak, aby objęło. Przyciskać nie można, gdyż bardzo delikatne kawałki śledzia się pokruszą. Po trzech dniach podawać w tem samem naczyniu. Resztę trzymać w suchem i chłodnym miejscu. Stać mogą zimną do dwóch tygodni.

SUFLET Z BESZAMELU

Pięć deka masła zasmażyć na białą z ośmioma deka mąki, rozprowadzić dwiema i pół szklankami zimnego mleka lub niegęstej śmietanki, trochę osolić, wymieszać doskonale, zagotować na bardzo gęsty sos, ostudzić. Trzy żółtka utrzeć z dziesięcioma deka cukru i całowym kawałkiem wanilii, utłuczonym z częścią cukru. Gdy zbieleją, zmieszać z masą beszamelową. Ubić pozostałe białka na sztywną pianę, zmieszać z masą. Półmisek wysmarować masłem. Ułożyć masę w ładną kopułę. Przed samym obiadem wstawić w gorący piec, aby się po wierzchu zrumieniło. Podawać wprost z pieca, żeby suflet nie opadł. Do niego syrop owocowy lub konfitury.

ŁATWA LEGUMINKA.

Dziesięć deka biszkoptów do czekolady, suchego biszkopta domowego, lub lekkich szampanek polać dwiema szklankami czekolady, ugotowanej na mleku — dziesięć deka czekolady, tyleż cukru i dwie szklanki mleka. Gdy biszkopciki doskonale wybrzękną, wynieść na chłód, lub wstawić do lodówki. Przed samem podaniem ubić krem z kwaterki śmietanki lub młodej śmietany, zaprawić dwiema łyżkami cukru, utłuczonego z wanilią, ułożyć ładnie ten krem na biszkoptach i podać. Leguminkę tę należy robić w kryształowej kompotjerze, w której bardzo ładnie wygląda. *Pani Elżbieta.*

Nieodzowna w dobrze zorganizowanym domu jest książka p. t.

„SŁUŻBA DOMOWA“

**gdyż rozwiązuje szereg najaktualniejszych zagadnień,
dotyczących tej stałej bolączki każdej pani domu.**

Cena 1 zł. 50 gr.

Z przes. poczt. 1 zł. 80 gr.

Do nabycia w Tow. Wyd. „BLUSZCZ“ — Warszawa, Plac Zamkowy 9. Konto P.K.O. 13.555.

KOŁO STUDJÓW GOSPODARSTWA DOMOWEGO

Miesięczne zebranie plenarne Koła (już pod nowym Zarządem) odbyło się w sali Związku Kobiet Katolickich (Krakowskie Przedmieście 36). Przewodnicząca p. Iza Mandukowa omówiła sprawę bieżącą.

1) Zarząd Koła, w celu udogodnienia członkiniom wpłaty miesięcznych składek, otworzył własne konto czekowe w P.K.O.: Nr. 22194.

2) Dyrektor Gazowni Miejskiej p. Świerczewski na odczytanie, wygłoszonym specjalnie dla członkiń Koła, o „Umiejętności posilowania się gazem“, zaproponował zwiedzenie zakładów Gazowni. Wycieczka uzależniona jest od liczby kandydatek.

3) W gmachu domu towarowego B-ci Jabłkowskiach przez dwa tygodnie przedświąteczne trwała wystawa wynalazków i urządzeń technicznych w gospodarstwie domowym, zorganizowana przy współudziale Koła Studjów Gospodarstwa Domowego.

4) Dla jaknajwyższego rozwinięcia propagandy Koła p.

UNIWERSYTECKA SZKOŁA PIELEŃNIAREK I HIGJENISTEK

w Krakowie otwiera nowy kurs dnia 1 września 1950 r. Nauka trwa 2 i pół lat. Przyjmuje się tylko internistki. Wykształcenie: 6 klas gimnazjalnych, lub równorzędne. Zgłoszenia: Dyrekcja Uniwersyteckiej Szkoły Pielęgniarek i Higjenistek w Krakowie, Kopernika 25.

300

WYTWORNE PANIE!!!

UŻYWAJĄ DLA DYSKRETYCH PŁÓKAŃ

DAMOSAN



ESENCJĘ
KOSMETYCZNO-
ANTYSEPTYCZNA

ORYG. WYRÓB FIRMY HENRYK ŻAK, POZNAŃ.

295

Marja Ankiewiczowa podjęła urządzenie zebrania dyskusyjnego na temat: „Życie codzienne i zdrowie rodziny w pojęciach Koła Studjów Gospodarstwa Domowego“. Referaty poszczególne opracują pionierki ruchu gospodarczego kobiet. Dyrekcja Polskiego Radja zgodziła się uprzejmie na transmisję tego zebrania na wszystkie stacje.

5) P. Aniela Rakowska — kierowniczka Sekcji zakupów i rabatów — ogłosiła spis nowych firm, które zobowiązały się do udzielania członkiniom Koła rabatów za okazaniem legitymacji.

Niezmiernie ciekawy referat o „Zdobieniu balkonów“ wygłosiła p. Wanda Dobrzańska. Prelegentka w jasnej i treściwej formie zapoznała panie z rodzajami sprzętu, niezbędnego do podjęcia tej pracy, oraz ze sposobami sadzenia kwiatów i ich kultywowania.

Praktycznych rad w „Walce z molami“ udzieliła p. Iza Mandukowa. Bezecełowa jest gonitwa za molem fruującym, gdyż nie jest on niebezpieczny. Obecność jego świadczy jedynie o istnieniu samicy, która ukryła się gdzieś w pobliżu. Samica jest groźna, gdyż składa jajeczka, których larwy niszczą nam futra, wełny lub grzyby. Czystość jest największym wrogiem moli.

Na zakończenie p. Elżbieta Kiewnarska podała paniom szereg przepisów kulinarnych, poczem członkinie miały możliwość nabywania po cenach zniżkowych oliwy, sardynek, herbaty, czekolady.

Marja Ankiewiczowa.

DOBRE RADY

Tłuste plamy z marmuru wywabia się magnezją w proszku, zarobioną benzyną na gęstą papkę; nakłada się ją grubo na splamione miejsca, zostawia na 24 godziny, poczem ściiera czystą ściereczką i poleruje miękkim gałgankiem flanelowym; jeżeli zastarzałe plamy nie puszcza od razu, trzeba powtarzać tę czynność aż do zupełnego ich zniknięcia.

* * *

Pęknięte kawalki marmuru skleja się następującym kitem: na 10 części gipsu wziąć 9 części gumy arabskiej, rozmięszać, dodać tyle boraksu, rozpuszczonego w zimnej wodzie, aby zrobiła się gęsta masa; posmarować pęknięte brzegi, mocno przycisnąć, związać sznurkiem i zostawić do następnego dnia w spokoju. Po jednym lub dwu dniach kit skamienieje i przedmiot będzie zdalny do użytku.

WARUNKI PRENUMERATY

w kraju oraz do Austrii, Czechosłowacji i Węgier: miesięcznie 5 zł. 80 gr., kwartalnie — 17 zł. 40 gr., rocznie — 69 zł. 60 gr. Do innych krajów miesięcznie — 7 zł. 20 gr. Zmiana adresu 50 gr.

Redakcja i Administracja: Warszawa, Plac Zamkowy 9, tel. 239-40.

Cena numeru w prenumeracie 1 zł. 34 gr.

Prenumeratę przyjmuje Administracja „Bluszczu“ — Warszawa, Plac Zamkowy 9.

Konto P. K. O. — Warszawa Nr. 3700.

Wydawca: Tow. Wydawnicze „BLUSZCZ“, Sp. z ogr. odp.

Redaktorki: STEFANJA PODHORSKA - OKOŁÓW (naczelnia) i MARJA PODHORSKA - OKOŁÓW

Redakcja i Administracja: Warszawa, Plac Zamkowy 9, tel. 239-40.

Ekspedycja: ul. Górnośląska 19, tel. 244-75.

Druk. Zakł. Graf. Tow. Wyd. „BLUSZCZ“. Rymarska 8, tel. 244-18.

Nasza Mównica

Rzecz o osadnikach.

Życie przekonało mnie kilkakrotnie, iż opinje społeczeństwa, dotyczące kwestji osadniczej, bardzo są podzielone i niejednolite. Pochodzi to stąd, że ogółowi nieznana jest prawda poczynai i wysiłków zdemobilizowanego żołnierza na Kresach.

Umysły czem innem były zajęte, a potem przyszły własne troski, walka o byt w mrowisku tysięcy intymnych spraw. Właściwie trudno się dziwić, lecz jest to fakt; dlatego chcę dzisiaj Szanownym Współcztelnikom dorzucić kilka słów o dniach minionych i obecnych, w obronie osadnika, zaledwie tolerowanego przez rodaków.

Wiosna chmurzy u nas czoła oraczy, bo niema ziarna na chleb, niema go pod nowy siew. Siłą kontrastu nasuwa ona reminiscencje z niedawnej przeszłości, gdy wczorajszy żołnierz z radością miał się pługą, radośnie karczował grunty, gdzie stanąć miał jego dom.

Było to dziewięć lat temu, wówczas ogromne obszary, przeznaczone na darowiznę dla byłych ochotników, cięto w szachownice różnej wielkości, przeciętnie od 20—25 ha. Normą stała się zasada: „im ziemia lepsza, tem mniej“. Działki instruktorskie, zawierające 40 ha, otrzymywały wyjątkowo jednostki o wyższem wykształceniu rolniczym. Nikt nie przyjeżdżał na miejsce z gołemi rękami; nawet ci, wprost z szeregów wojskowych przybywający, ubrani jeszcze w mundury, nierzadko mieli większą gotówkę, późniejsi wieźli żywy inwentarz, dobytek gospodarski, po sprzedaniu w środkowej Polsce mniejszych swych posiadłości.

Osadnik, stanąwszy oko w oko z rzeczywistością, zobaczył działkę szumiącą i pachnącą lasem, nabywał świadomości pracy, która go czekała i musiał sobie zdać sprawę, iż praca to bardzo ciężka. Ale tułacza, który w huku dział własnymi stopami przemierzył całą Polskę, szczęściem napawał ugor własny. Ochotnie dawał pracę rolnik z dziada pradziada, zarówno jak i mieszczanin, u którego praca dobywała na jaw drżące atawistycznie we krwi, prasłowiańskie zamilowanie do ziemi.

Nie kierowała też osadnikiem chęć zysku, ani ignorowanie potrzeb ziemi. Chciwi zysku dawno już odpadli, po zmarnowaniu ulg państwowych. A ulgi te i wogóle pomoc państwa w początkach były intensywne i wszechstronne. Na dobrych ziemiach, poza drobniejszemi świadczeniami, ograniczały się do budulca, ewentualnie pieniężnego zań wyrównania.

Gdy ziemia sypała plon obficie, miał osadnik chleba dosyć, mógł więc dokończyć budynki, kupić maszyny rolnicze i inwentarz, bez zaciągania większych pożyczek. To też w krótkim stosunkowo czasie wzdłuż wschodniej granicy Rzeczypospolitej stanęły osady. W pustce i głośny rozbrzmiewał język polski, zagościł duch polski, jako krzewiciel kultury zachodniej, mającej złamać barbarzyństwo i krwiożercze instynkty Wschodu. Powstały mleczarnie, spółdzielnie, Kółka Rolnicze, Domy Ludowe. Pracą wszechstronną, nieustającą ani na chwilę, zwalczał osadnik uprze-

żenia autochtonów: polaków i białorusinów. Działo się to systematycznie, powoli, co dnia i co godzinę. Dziś każdy moment, to krok naprzód, do dobrobytu, do szczęścia i utrwalenia granic Ojczyzny. Dziś nie chce słyszeć „haziajn“ tutejszy o Bolszewji. I obywał jej, półoslepy od widoku mordów, szuka schronienia w „Polszy“.

Jest przecież w całokształcie osadnictwa cień jeden, zawisły, jak chmura, pełna klęsk wszelakich, nad polami. W Byteńszczyźnie właśnie, w powiecie Słonimskim, gdzie ziemia nie matka a macocha, rodzi dosłownie ciernie i głogi, gdzie inwestycje pieniężne i trud roboczy idą na marne. I nadzieję lepszej przyszłości, i siły, i zdrowie zaprzepaszcza otchłań piaszczysta, jak wykazało kilkakrotnie doświadczenie, stwierdzające słowa prof. Miklaszewskiego, który już przy ocenie majątków klucza Byteńskiego, wywła-szczonego na rzecz państwa, orzekł, iż ziemię tutejszą są *bezwartościowe!* Trzeba było stracić przywieziony inwentarz, sprzedany na podatki i żywność dla rodzin, i dopiero gdy wyczerpała się gotówka, „rozeszły“ pożyczki krótkoterminowe, zaciągnięte w nadziei ostatecznego ratunku, pewnym stał się fakt, iż życie w podobnych warunkach jest niemożliwe.

Wówczas, w dziesięciolecie niepodległości, złożono Panu Marszałkowi Pilsudskiemu memoriał, który dyktowała rozpacz, ale i dawna z okopów żołnierska wiara w Wodza. Nie zawiodła. Wkrótce na działki byteńskie, dla zbadania istotnego stanu rzeczy, przyjechał p. inż. Janikowski. On to właśnie w protokularnem sprawozdaniu z powierzonej mu misji poparł orzeczenie prof. Miklaszewskiego szeregiem fachowych, zaobserwowanych przykładów, stwierdzonych przez całą komisję, zaznaczając również wyraźnie, iż osadników w Byteńszczyźnie czeka śmierć głodowa.

Takie samo wrażenie wyniosła stąd następna ministerjalna komisja, która w dniach 5 i 6 listopada r. ub. w liczbie sześciu osób objeżdżała działki, na skutek życzenia Pana Prezydenta Rzeczypospolitej, zainteresowanego sprawami tutejszego osadnictwa już podczas przejazdu przez Byteń. Delegaci z Ministerstwa Reform Rolnych, Min. Rolnictwa, Min. Spraw Wojskowych, oraz Centralnego Związku Osadników wyjeżdżali do stolicy, zgnębieni widokiem, który na pierwszy plan wysunął konieczność jak najszybszej pomocy. Delegat C. Z. O. p. inż. Serezyk, zapytany przezemnie, wrażenia swe określił w dwóch słowach: „Bieda z nędzą“. Wiem także z ust wiarygodnego świadka, iż jednemu z panów obraz osadniczego „raju“ wycisnął lzy z oczu.

Zapewne nie przypuszczał nigdy, iż właściciel 22 ha. może mieć tak obdarte i zziębnięte dzieci w chatkach, których przewiewność z pustką idzie w zawody, bo zniszczone, pełne szpar, nielepsze są od ziemianek. Pustki wszędzie, w stajni jedna krowa i para koni, do niedawna utrzymująca rodzinę pracą przy zwózce drzewa. Gdy ta się skończyła, nastął okres głodującej vegetacji, urozmaicanej wizytami urzędnika, kładącego sekwestr na ostatki martwego i żywego mienia, za podatki komunalne i państwowe, za procenty od

pożyczek krótkoterminowych, za długi w kasach i spółdzielniach, i t. d., i t. d.

Dość powiedzieć, iż na 73 gospodarstw osadniczych ogólna suma zadłużenia państwowego i prywatnego wynosi ponad 300 tysięcy złotych, czyli czyni około 145 zł. na 1 ha, a zdarza się także, że długi przewyższają wartość działki wraz z budynkami.

Długi te są zatem obecnie przyczyną klęski gospodarczo-moralnej, piętrzącej się z dnia na dzień w nieuchronną wprost katastrofę. A wynikły one tylko ze złych warunków.

Najlepszym stwierdzeniem powyższego faktu jest zbiór ogólny plonów: zboża i roślin okopowych w większości wypadków mniejszy od ilości nasienia, rzuconego w ziemię, nie wystarczający do zaspokojenia najprymitywniejszych potrzeb własnych. Przecież bywało i tak, że zaorywano żyto, albo nie zbierano go zupełnie, bo wartość plonu nie opłacała kosztów zbioru!

Trudno myśleć o utrzymaniu większej ilości żywego inwentarza, dla braku paszy; trudno myśleć o ulepszaniu ziemi dla braku nawozu. Sytuacja zupełnie bez wyjścia. „Ni żyć, ni umierać. Rzucić gospodarstwa nie można, bo za długi znajdują każdego na końcu świata“, jak pisze inż. Janikowski. Wielu osadników opuściło działki, zajmując się do pracy w fabrykach, lub szoferką zdobywając chleb codzienny dla zostawionych na Kresach żon i dzieci. A inni, mniej szczęśliwi?!

Oczekują pomocy, którą szeroko i wszechstronnie określiła ministerjalna komisja we wnioskach, stwierdzających między innymi, iż trzeba:

- 1) przesiedlić pewną część osadników na lepsze działki;
- 2) wstrzymać płatność państwowych i komunalnych pożyczek, oraz podatków od tychże;
- 3) udzielić 100 tysięcy złotych doraźnej zapomogi na spłatę długów prywatnych;
- 4) zmniejszyć skalę podatków państwowych i komunalnych pozostałym na działkach osadnikom;
- 5) zmniejszyć kosztem państwa łaki, dziś bezużyteczne.

Wnioski powyższe ustaliła czwarta z rzędu komisja w grudniu ub. r., zbadawszy ostatecznie wartość ziemi i zabudowań gospodarskich, oraz ilość żywego inwentarza na osadach.

Według tejże opinii teren, na którym stoją 42 działki, został przeznaczony pod zalesienie.

Tak przedstawiają się obecnie sprawy „biedaków“ z Byteńszczyzny, „uprzywilejowanych“, jak głosi ciągle jeszcze opinia sąsiedzka, opinia władz komunalnych i powiatowych.

Kiedy przed laty rząd chciał zwolnić osadników od podatków, przynajmniej na pewien określony czas, oni samorzutnie oparli się temu. Nie chcieli przywilejów, tylko dobrego warsztatu pracy, by móc ponosić ciężary narówni z innymi. Choć większość ich, to inwalidzi, tem godniejsi uwagi, iż nie wciągnięci pod kategorię *b*, a więc ciągle zdolni „do służby“, mimo potęgających się coraz więcej niedomagań w tutejszych warunkach.

To też, gdy z zaciętością isticie chłopską tworzą tutaj, na Kresach Polskę, według odwiecznych państwowych wzorów, czyż wytrwałość ta nie jest bliska bohaterstwa?

Osadnicy znają swe obowiązki, ale znają też swe położenie wyjątkowe, wśród osadnictwa, wyjątkowej uwagi i opieki wymagające. Dlatego w ostatnich tygodniach zawiązał się w Byteniu oddział Zw. Osadników.

Teraz płyną znowu dnie szare w nędzy i samotnym trudzie. Stuliła promienne skrzydła nadzieja, zasnuła gorzkim zniechęceniem.

Bo miłczenie jest dotychczas odpowiedzią. Minał termin, oznaczony na przesiedlenie osadników. Papierowemi wnioskami pozostały wszystkie inne ulgi i pomoce. Nawet dożywiania dzieci, cieplej dla nich odzieży, nie otrzymaliśmy. Natomiast kasy i banki wołają o należność, procenty, popierają alarm nakazami sądowemi. Darmo pisze się podania i prośby.

Jednak wiara nowoczesnych pionierów polskości na Wschodzie większa jest od ich niedoli. Jak wierzyli niegdyś w wolność, wylaniającą się z morza krwi, tak dziś wierzą głęboko, że Ojczyzna nie da im zginać, że skończyć się musi ich upośledzenie.

Tylko, aby prędzej pomoc nadeszła! ta, która radością i szczęściem rozpromieni oczy i sprawi, że dobrobyt zapanuje na wszystkich osadach, przy pracy rozkwitnie w stokrotny plon! A wieść o tem i o potędze Rzeczypospolitej rzuca strażnice kresowe daleko, by dziwiły się obce ludy, jak ongiś, jak ongiś!

Zofja Persowska — Byteń.

W sprawie „Art. 141 i 142“.

Osobiście jestem za karalnością przerywania ciąży i nietylko za utrzymaniem całkowicie, w pierwotnym brzmieniu art. 141, 142, lecz i za rozszerzeniem ich, by *bezwzględnie* i *sprawa ciąży*, w pewnych wypadkach, był karany.

Musimy przyjąć fakt, że powyższe przewinienie jest zbrodnią, a bezwzględnie każda zbrodnia musi być karana, winę zaś ponosi zarówno matka, jak i współnicy.

Gdy jednak kobieta zmuszona jest spędzić płód, ze względu na swoje zdrowie, dobro rodziny czy też dobro społeczne, niechaj to robi legalnie: pisze podanie, odpowiednio umotywowane, do sądu, lub też do innej uprawnionej instancji, a na podstawie odpowiedniego orzeczenia udaje się do lekarza-specjalisty. Będzie to zgodne z prawem.

Prawo o karalności przerywania ciąży dotyczy przeważnie matek nieślubnych. Gdyby artykuły te zostały zniesione, to może dzieci nieślubnych byłoby mniej, ale zato kobieta stałaby się bezwolną ofiarą i zupełną niewolnicą ludzkich sameców.

Któż ma wziąć w opiekę te rzesze nieszczęśliwych kobiet, jak nie prawo?

Zastanówmy się nad losem kobiet pracujących, urzędniczek, służących, tak miejskich, jak i folwarcznych. Przedewszystkiem weźmy dolę takiej przeciętnej urzędniczki, która ma np. na utrzymaniu matkę i brata-studenta. Pan szef zwraca na nią uwagę i wprost robi jej propozycję: redukcja, lub poddanie się jemu. Co nieszczęśliwej pozostaje do wyboru? Naturalnie, dla dobra swych ukochanych, poświęca największy swój skarb: cnotę. Konsekwencje ponosi sama: albo oddaje się w niepowołane ręce i spędza płód, oszczędzając sobie wstydu, lub też zostaje matką, którą wszyscy pogardzają. A ów pan? Gdy mu się ta znudzi, zwraca się do innej. Ze służącemi jest ta sama historia, tylko może mniejsze ma podstawy idealne. Pomyślmy teraz nad losem tych rzesz dziewcząt wiejskich, które pracują we dworach, które muszą ulegać jaśnie panom, ich synom lub też oficyalistom dworskim. Kto co dzień patrzy, a *umie patrzeć*, na te stosunki, ten dokładnie zdaje sobie sprawę, jakim złem byłoby skasowanie art. 141 i 142. Taki jeden i drugi pan, obojętne z jakiej sfery, daje pieniądze na spędzenie płodu i jest w porządku.

Artykuły karne dotyczą tylko przestępców i są jakoby tarczą ochronną społeczeństwa przeciw przestępczości. Dlaczego nie żądamy zniesienia kary za złodziejstwo? Przecież są wypadki kradzieży z gło-

du, lecz prawo bierze pod uwagę motywy popełnionej przestępczości i odpowiednio zastosowuje karę.

Sądzę, że dość jaskrawo przedstawiam powyższą sprawę; by przemówiła do serc i dusz kobiet, by zastanowiły się, te wybranki losu i nie myślały tylko o sobie, że ciąży to kłopot, że zniekształca figurę, przeszkadza w przyjemnościach i trzeba się w tym czasie wyrzec dancingów.

Kobiety, wybranki losu, zastanówcie się, póki czas, pomyślcie serdecznie nad tą rzeszą nieszczęśliwych, wykołojonych, a potem rządźcie się rozumem!

Nie dajmy się, w sprawiedliwości sądu, uprzędzić mężczyznom, którzy nie mają tak subtelnych uczuć, nie umieją tak miłować i tak cierpieć, jak kobiety.

Patrzmy w przyszłość, ile złego wyrządziłoby skasowanie powyższych artykułów, nie powodujmy się sobkostwem, wnieśmy się ponad wyżyny własnego ja, a będą nas błogosławić nasze córki lub wnuczki.

Leonarda z Podola.

Kobieta powinna pracować społecznie.

Nie miałam bynajmniej zamiaru zabierania głosu na temat pracy społecznej, gdyż Panie wypowiedziały się o niej jasno i obszernie; a jednak zahaczam trochę o ten temat, choć powód całkiem inny. Piszę to pod wpływem świeżo widzianego filmu p. t. „Szlakiem hańby“, który, sądzę, ma na celu zwrócenie uwagi tysiącom kobiet na niebezpieczeństwo, jakie im groziło i grozi.

Zapytuję teraz, kto spełni rolę opiekunczą: czy mężczyzna, dla którego przecież ten żywy towar przeznaczony? Abstrahuję tu od pojęcia, że wszyscy mężczyźni są tacy, o nich tu się nie mówi; myślę o tych stręczycielach „pajakach“, którzy uwijają się po wsiach i miasteczkach i werbują młode dziewczęta, by zarobiwszy na nich, rzucić je na hańbę i zgubę! Czy właśnie nie kobieta może przeciwstawić siły swe i zmierzyć się z wrogą siłą? Myślę, że tak.

Akcja ostrzegawcza zapomocą kina nie wystarczy, bo w miastach dla wielu kobiet nawet kino jest za drogą, a w miasteczkach małych i na wsiach niema go wcale.

Kto zatem ma ostrzegać, ratować kobiety przed złem? Czy instruktorki? czy są takie i skąd wziąć na nie fundusze? A zanim będziemy mieć płatne instruktorki, czyż nie my właśnie, świadome zła, jakie grozi naszym siostram, nie jesteśmy obowiązane poprostu moralnie do pracy nad niemi? Chyba tak. Zapewne mało by się znalazło kobiet, obojętnie patrzących na tę sprawę. Chodzi tu o pracę wśród kobiet nieświadomych niebezpieczeństwa, a za mało kulturalnych, by mogły nałożyć wędzidła i głos krwi przyciszyć. Czyż nie powinniśmy iść do nich z pomocą, czy to nie rola kobiety, która, mieszkając na wsi lub w miasteczku (o dużych miastach nie myślę, gdyż tam w tym kierunku panie pracują), ma możliwość porozumienia się, wyjaśnienia. Nikt tak właśnie, jak kobieta, nie zdoła przemówić i przekonać. Kobieta inteligentna potrafi siłą umiłowania dobra i piękną wpłynąć na drugą i oderwać ją od zguby i złego, potrafi ją pchnąć na lepsze tory, wskazać jej właściwą drogę. Do instruktorki mniej będą mieć zaufania dziewczęta, którym, rzekomo, los świetny się uśmiecha; nie przeczę, że i do inteligentnej osoby też nie będzie zaufania natychmiast, trzeba czasu i pracy wytrwałej, by to zaufanie zdobyć.

Takie kobiety, które mają ochotę i zdolność, oraz zamiłowanie do pracy społecznej, mogą i powin-

ny, poświęcając jej choć trochę czasu, zbierać młode dziewczęta ze swego otoczenia, dziewczęta niezamożne i nieświadomione, służące, szwaczki, robotnice i ostrzegać je o niebezpieczeństwach, grożących od handlarzy żywym towarem. Jak praca taka jest potrzebna, możemy przekonać się ze sprawozdań i opinii pań, pracujących w misjach dworcowych. Oto, nieraz taka opiekunka zauważy podejrzanego osobnika z młodą dziewczyną. Przystępuje do nich i cóż się okazuje? Oto dziewczyna ma papiery w porządku i dobrowolnie jedzie z człowiekiem, o którym powiada, że jest jej krewnym, opiekunem, etc. W tych wypadkach wielokrotnie i policja jest bezsilna, zwłaszcza, gdy kobieta jest pełnoletnia. Trzeba działać *przedtem*.

Obok uświadamiania i ostrzegania o niebezpieczeństwie, inteligentna i ofiarna w pracy społecznej kobieta znajdzie napewno sposób zainteresowania młodych umysłów przystępną dla nich lekturą, wzbudzenia zamiłowania do szlachetnej rozrywki, poradzi w wyborze i udoskonaleniu pracy, dającej godziwy zarobek. Można to zrobić na początek w małym kółku, a jeśli znajdzie się większe grono osób, chętnych do pracy, można już założyć stowarzyszenie, zapewniające większą i wydajniejszą pomoc młodym dziewczętom.

L. R. — Leszno.

Wyjaśnienie.

Wydaje mi się, iż „Nasza Mównica“, obok innych korzyści, jakie daje, uczyć nas także winna kulturalnej i celowej polemiki, celowej, t. j. prowadzącej do porozumienia, a nie do inwektyw i zadrażeń.

Bardzo być może, że pojęcia etyczne p. Świeżyńskiej są djametralnie różne od moich, mimo to jednak faktem jest, iż nie twierdziłam, jakoby danie alimentów miało być wystarczającym spełnieniem obowiązków ojcowskich. Kto mi taką rzecz zarzuca, powinien przede wszystkim zacytować z mojego artykułu odnośne zdania, inaczej zarzut będzie tylko gołosłowny.

Otóż nietylko, zem takiego twierdzenia nigdy nigdzie nie wygłosiła, lecz, wprost przeciwnie, powtarzam z całym przekonaniem za p. Świeżyńską, te złote słowa: „Postokroć ważniejsze od pomocy materialnej są obowiązki moralne, związane z wychowaniem dziecka na człowieka-obywatela, od których, siłą rzeczy, uchyla się nieślubny ojciec, a którym samotnej kobiecie-matce nieraz trudniej sprostać, niż obowiązkowi wyżywienia dziecka“.

Tylko na tę „siłę rzeczy“ bardzo odmiennie patrzymy... W średniowieczu, gdy nikt się za bardzo nie gorszył nieślubnym macierzyństwem (mimo intensywniejszego o wiele życia religijnego!), ani go potępiał, mężczyźni najczęściej wychowywali swe nieprawe dzieci (patrz: „Krystyna, córka Lawransa“ S. Undset, nietylko genialne dzieło artystki, lecz źródłowe studjum obyczajowe z XIV wieku), a przynajmniej dopomagali w ich wychowaniu, nie wstydząc się tych naturalnych obowiązków swoich, jak obecnie. Dopiero takie stanowisko samych kobiet, jakie reprezentują panie Świeżyńska i Dzieciolowska, to ostre, niewyrozumiałe odgródenie kobiet „upadłych“ od kapłanek domowego ogniska, to właśnie odebrało definitywnie opiekę ojcowską nieszczęśliwym dzieciom uwiedzionych dziewcząt. My same winne jesteśmy ciężkiemu losowi „samotnej kobiety-matki“, a ulżyć można mu jedynie, wpajając w społeczeństwo przekonanie, że „wina“ nieślubnego rodzicielstwa spada zarówno na oboje rodziców.

Chyba już dosyć jasno wyraziłam swe poglądy i mam nadzieję, że nikt więcej nie zechce ich mylnie tłumaczyć.

Z. Zarwiszanka.